



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXI Nr 4(236) Zelów, kwiecień 2016

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Krzysztofa Galasa, Sylwestra Gołębia, Tomasza Kuklińskiego, Janusza Orlikowskiego, Anny Sadzik, Szczęsnego Wrońskiego

Andrzej Dębkowski – *Co z tym buntem?*

Leszek Żuliński – *Opętani sonetem?*

Józef Baran – *Spadając, patrząc w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja pisana czułym piórem kobiet*

Kazimierz Ivosse – *Maska pośmiertna Jerzego Giedroycia (2)*

Stefan Jurkowski – *Bagno tymczasowe*

Andrzej Bartyński – *Bar Cin-Cin*

Joanna Friedrich – *Królowe życia*

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Andrzej Gnarowski – *Żebraczy los*

Dariusz Pawlicki – *O nieistniejącym*

(jeszcze) społeczeństwie mecenasów

Elżbieta Stankiewicz-Daleszyńska –

Chryzanthem i siedem zaduszonych myszy

Andrzej Walter – *Julia z Krainy Czasu*

Emil Biela – *Nikt nie czeka na nowe wiersze*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy

Kronika

Witryna



Konkursy

Ogólnopolski Konkurs Poetycki XXIII Piastowskiej Biesiady Poetyckiej

Miejska Biblioteka Publiczna i Miejski Ośrodek Kultury w Piastowie oraz Konfraternia Poetycka „Biesiada” ogłaszają otwarty Ogólnopolski Konkurs Poetycki XXIII Piastowskiej Biesiady Poetyckiej.

Na konkurs należy nadesłać 5 wierszy o dowolnej tematyce, własnego autorstwa, nigdzie dotychczas nie publikowanych i nie nagradzanych w 4 egzemplarzach maszynopisu (wydruku), w terminie do 9.09.2016 roku na adres: Miejski Ośrodek Kultury, ul. Warszawska 24, 05-820 Piastów z dopiskiem na kopercie „Konkurs poetycki”.

Każdy uczestnik konkursu może nadesłać jeden zestaw wierszy. Łączna objętość zestawu wierszy nie może przekraczać 10 stron znormalizowanego maszynopisu.

Nadesłane teksty winny być opatrzone godłem literowym (pseudonimem). To samo godło winno być umieszczone na dołączonej kopercie, zawierającej wewnątrz: imię i nazwisko, adres i telefon kontaktowy autora (jeśli posiada).

Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów oraz zastrzegają sobie prawo do wykorzystania ich w okolicznościowej pozycji wydawniczej bez honorariów autorskich.

Jury konkursu przyzna następujące nagrody: I – 1000 zł; II – 750 zł; III – 500 zł; 4 wyróżnienia po 300 zł

Zastrzega się prawo Jury do innego podziału nagród. Nagroda lub wyróżnienie nieodebrane przez laureata w dniu ogłoszenia wyników zostanie przeznaczone na cele wyznaczone przez organizatorów konkursu. Ostrzega się potencjalnych uczestników konkursu, że powyższa zasada będzie traktowana kategorycznie. Organizatorzy nie zwracają kosztów podróży i zakwaterowania.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone podczas XXIII Piastowskiej Biesiady Poetyckiej, która odbędzie się 22 października 2016 roku (sobota) w godzinach 14.30-19.30. Organizatorzy zapraszają wszystkich uczestników konkursu do udziału w Biesiadzie, co przyczyni się do integracji środowiska poetyckiego, a udział laureatów uważają za niezbędny. W programie m.in.: spotkania autorskie jurorów, znakomita oprawa muzyczna oraz Turniej Jednego Wiersza z nagrodami i dyplomami.

XIV Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. C.K. Norwida

Podsumowano XIV Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. C.K. Norwida w Pruszkowie. Jury w składzie: prof. Leszek Szaruga – przewodniczący; dr Tomasz Korpysz; prof. Piotr Mitzner – zapoznali się z 176 zestawami konkursowymi i postanowiło:

W podstawowej kategorii Konkursowej:

- I nagrodę w wysokości 2.000 PLN przyznać panu Pawłowi Podlipniakowi – godło „nie mam słów” – z Radomia.

- II nagrodę w wysokości 1.000 PLN przyznać pani Marcie Jurkowskiej – godło „azalia” – z Olkusza.
- III nagrodę w wysokości 600 PLN przyznać panu Michałowi Witoldowi Gajdzie – godło „Gawrowy” – z Wrześni.
- Trzy wyróżnienia w wysokości 400 PLN przyznać: panu Bogdanowi Nowickiemu – godło „LEMAN” – Ze Świętochłowic, panu Stanisławowi Grabowskiemu – godło „Leon” – z Warszawy, panu Marcinowi Królikowskiemu – godło „Pan Zeszłorak” – z Warszawy.

W kategorii wierszy o Pruszkowie:

- I nagrodę w wysokości 1.000 PLN przyznać panu Ireneuszowi Jaskólnikowi – godło „lepian” – z Warszawy.
- II nagrodę w wysokości 500 PLN przyznać panu Bogusławowi Olczakowi – godło „BHŻ” – z Warszawy.
- Dwie równorzędne nagrody trzecie w wysokości 300 PLN przyznać pani Marcie Jurkowskiej – godło „azalia” – z Olkusza oraz panu Tomaszowi Pohłowi – godło „Znicz 1923” – ze Zduńskiej Woli.

Ponadto Jury postanowiło uhonorować drukiem:

- panią Zofię Grabowską-Andrijew z Chodzieży, godło „PIERSCIEN” – za wiersz *ZMIANA*,
- panią Iwonę Świerkulę z Warszawy, godło „Syzyf” – za wiersz *Wylawianie ciała* oraz *Do jurora konkursu poetyckiego*,
- panią Martynę Lipińską z Jastrzębia Zdroju, godło „Lawendowy Orzeszek” – za wiersz *Skarga P.*,
- pana Apoloniusza Ciołkiewicza z Białegostoku, godło „Ojczym” – za wiersz *Cierpiętnictwo narodowe*,
- panią Magdalenę Cybulską z Łodzi, godło „MAGNOLIA” – za wiersz *Zabawy*,
- panią Agnieszkę Marek z Bielska-Białego, godło „PRYZMAT” – za wiersz *Prośba* oraz *Przedzimek*,
- panią Marię Mazińską z Pruszkowa, godło „Bubo bubo” – za wiersz *Z popiołu zapomnienia*,
- panią Klarę Sielicką-Baryłkę z Brwinowa, godło „Plejlista” – za wiersz *Małe miasteczko*,
- pana Rafała Jaworskiego z Tychów, godło „Dulag” – za wiersz *Sprawozdanie z procesu miłości*,
- pana Stanisława Wasilewskiego z Żyrardowa, godło „Nadnarwiański Sandacz” – za wiersz *MOJA WIOSKA*,
- pana Dariusza Glazera z Warszawy, godło „szklarz” – za wiersz *wolna amerykanka* oraz *utwór literacki na konkurs*,
- pana Roberta Kanię z Warszawy, godło „Fan Tomasa” – za wiersz **** [miał pięć lat...]*,
- panią Annę Luberdę-Kowal z Krakowa, godło „ponurnik” – za wiersz *noc-niemoc*,
- pana Mariana Lecha Bednarka z Czernicy, godło „KOLEBKA” – za wiersz *Chleb*,
- pana Dariusza Sobieskiego z Gdańska, godło „XDYSZ” – za wiersz *Potrójnie*,
- pana Stanisława Grabowskiego z Warszawy, godło „Anastazja” – za wiersz *ŚNIĘ MI SIĘ NORWID*,
- pana Andrzeja Jakuba Mularczyka z Ostrzeszowa, godło „żarówka” – za wiersz *obcych nie wpuszczamy*,
- pana Jerzego Fryckowskiego z Dębnicy Ka-

szubskiej, godło „KARABIN” – za wiersz *DRZWI.EPILOG.*

XXVIII Ogólnopolskie Literackie Spotkania Pokoleń

Organizatorem konkursu jest Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy.

Konkurs jest adresowany do osób pełnoletnich.

Na konkurs należy przesłać 4 wiersze.

Tematyka utworów może być dowolna. Mile widziany będzie wiersz dotyczący Kruszwicy lub rejonu nadgoplańskiego.

Wiersze zgłaszane do konkursu nie mogą być wcześniej oceniane i nagradzane, ani publikowane (również w Internecie).

Prace należy przysłać listownie.

Profesjonalne jury wybierze 30 najlepszych zestawów wierszy. Ich autorzy zostaną zaproszeni do udziału w XXVIII Ogólnopolskich Literackich Spotkaniach Pokoleń.

Spśród osób zakwalifikowanych do udziału w spotkaniach jury wybierze laureatów konkursu, którzy otrzymają nagrody finansowe i książkowe.

Dodatkowym wyróżnieniem dla poetów będzie publikacja ich tekstów w almanachu poetyckim.

Termin przyjmowania zgłoszeń mija 30 kwietnia 2016 roku.

Strona konkursu:

www.kpck.pl/xxviii-ogolnopolskie-literackie-spotkania-pokolen/

I Ogólnopolski Konkurs na Opowiadanie „Zaloguj się na Kresach”

Organizatorem konkursu jest Develop Investment Sp. z o.o. z siedzibą w Rzeszowie.

W chwili zgłoszenia się do konkursu uczestnik musi mieć ukończone 18 lat.

Hasło przewodnie konkursu: „Cudowność. Być człowiekiem i żyć wśród ludzi to przecież cudowne, nawet jeżeli znamy podłości i zbrodnie, do jakich są zdolni” Czesław Miłosz

Każdy uczestnik może przesłać na konkurs jedno opowiadanie o objętości do 25 tysięcy znaków. Akcja opowiadania musi toczyć się na Kresach.

Utwór nie może być wcześniej publikowany.

Prace oceni Jury w składzie: Sylwia Chutnik – pisarka, Joanna Laprus-Mikulska – redaktor naczelna Wydawnictwa Świat Książki, Anna Derengowska – kierownik redakcji literatury polskiej w wydawnictwie Prószyński i S-ka, Jerzy Fąfara – pisarz, Magdalena Zimny-Louis – pisarka.

Zgłoszenia należy przysłać e-mailem (szczegóły w regulaminie).

Zwycięzca konkursu otrzyma 5.000 zł. Opowiadanie zostanie opublikowane w magazynie *Day & Night* i zaprezentowane w Radiu Rzeszów.

Termin przyjmowania zgłoszeń: 30 kwietnia 2016 roku.

Strona konkursu:

www.millenniumhall.pl/pl/aktualnosci-millennium-hall/3726,i_ogolnopolski_konkurs_na_opowiadani_e.html

[ad]

Marek Jastrzęb

Po-ranne noce (II)

Julio Cortazar, czyli gra ze stereotypami

(...) jeden z tych pseudodialogów, w którym mówiącemu jest zupełnie obojętne, czy partner odpowiada, czy nie, byleby tylko był na przeciw niego, byle coś było naprzeciw niego, cokolwiek, jakaś twarz, jakieś nogi wystające z lodu...

Julio Cortazar, GRA W KLASY,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 1974 s. 325).

Próżnością jest myśleć, że rozumiemy działanie czasu; grzebie on swoich zmarłych i chowa klucze. Jedynie w snach, w poezji, w zabawie – zapalić świecę i przenieść przez korytarz – z rzadka pochylamy się nad tym, czym byliśmy ongi, zanim staliśmy się tym, czym ewentualnie teraz jesteśmy.

Julio Cortazar, GRA W KLASY,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 1974 s. 463).

Julio Cortazar, więzień przykuty do snów, wizjoner i skazaniec na właściwe słowa, prozatorski wirtuoz, poeta, eseista, teoretyk i praktyk nowej formy pisania, awangardzista, stały eksperymentator zapisu dzieła, gladiator myśli i odrealniony sztukmistrz trudniący się odśnieżaniem piasku na wodzie, to literat hermetyczny dla jednych, a dla innych – kulturalny dywersant pomawiany o uprawianie językowych czarów, fabularne szamaństwo i pokątne konszachty z diabłem.

Mawia się o jego bohaterach: niepoprawni idealści, zdecydowani naiwniacy, zawzięci marzyciele. Idealści, ponieważ chcą zmieniać świat, nie znając jego celu i sensu. Marzyciele, gdyż wstępują w życie grubo po trzecim dzwoneku, a odchodzą z niego w połowie przedstawienia; znikają z widowni lub sceny nie wiedząc, czy byli na komedii, czy brali udział w dramacie. Nie wiedząc, a jednak zachowując się, jakby znali całość spektaklu.

Miał prorocze spojrzenie na rolę czytelnika. Prezentował pogląd, że powinien on być aktywnym partnerem autora. Uczestnikiem wędrówek szlakami jego wyobraźni. Razem z pisarzem współtworzyć utwór. Dlatego w Grze w klasy zaproponował odbiorcy swobodny wybór kolejności czytania jego poszczególnych fragmentów. Książkę można więc odbierać w sposób tradycyjny, od początku do końca, albo według własnego uznania.

Lub – zgodnie z kolejnością rozdziałów zaleconą przez autora.

Czy też – losowo.

Tak skonstruowana powieść odkrywa przed adresatem kolejne poziomy jej interpretacji i za każdym razem budzi nowe, często odmienne refleksje. Barwny, muzyczny, oryginalny i nieszablony styl, do którego trzeba się przyzwyczaić, jest nie do naśladowania; łamie poprawnościowe ustalenia. Wcześniej niespotykany, odróżnialny na tle jakichkolwiek twórców, był z tych powodów tak u nas popularny w zgrzebnych czasach lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Sztuka nie jest dla Julia kopiowaniem rzeczywistości. Ma pobudzać wyobraźnię odbiorcy, a nie zasklepić się w ograniczeniach. Ma syntetyzować, a nie odtwarzać. Do odtwarzania wystarczy magnetofon, zdjęcie powierzchni zdarzenia posypane fabularnym confetti. Do przetwarzania konieczna jest pamięć równoległa, rentgenowskie zdjęcie wirujących uczuć.

W jego utworach każdy bohater udaje indywidualistę i chce być brany za niepowtarzalnego, jedynego w swoim rodzaju. Cortazarowski świat przypomina arenę, na której wszyscy walczą ze sobą o zachowanie własnej odrębności. Odrębności niejednokrotnie utraconej: odbywa się w tym świecie zdzieranie oficjalnych grymasów. Rozdrapywanie niezagojonych ran. Podążanie tropem ukrytych przeżyć. Ale choć indywidualne przeżycia są dla jednych bohaterów oczywistościami, drugim – obserwatorem z zewnątrz – wydają się podejrzone, wątpliwe, nieautentyczne.

Stąd u Cortazara toczą się nieustanne boje na słowa, gesty, zakamuflowane intencje. Pojedynki antagonistów. Starcia przypominające mechaniczne, akademickie dyskusje o niczym. Jało we i nieudolne spory bohaterów próbujących określić się w rzeczywistości, zinterpretować świat i znaleźć w nim swoje miejsce.

A ponieważ wszyscy są reprezentantami własnych światów, nie ma między nimi całkowitego porozumienia. Jest ledwie co fragmentaryczne, pozorne, poszatowane na wycinki i segmenty: jest zdarzenie opowiedziane aluzyjnie; nie w pełni i nie wprost.

Tak mamy w jego najlepszej powieści, zdumiewającej śmiałością rozwiązań w warstwie językowej i konstrukcji – w GRZE W KLASY: np. Horacio Oliveira, np. Traveler, np. Maga, np. Talita – krążąc wokół siebie, spotykają się w rzeczywistości innej niż ta, która jest ich udziałem. Są razem, ale w nieprzerwanym konflikcie.

Żyją wspólnie, ale na przeciwnych biegu-

nach: „łączą się”, ale tylko w głowie Horatia. W niej tolerują swoją obecność, ale choć są do siebie podobni, nie potrafią się zaakceptować. A że podobieństwo nie wyklucza różnic, Maga i Horacio, para z Francji lub Horatio i Traveler, przyjaciele z Argentyny, postaci te trwają wobec siebie w ciągłym klinczu: na granicy nieuchronnego rozstania. Powieść składa się z trzech części: pierwsza, Z tamtej strony, przedstawia epizody zagmatwanych losów bohatera, czterdziestoletniego Argentyńczyka, Horacia Oliveiry prowadzącego swobodne, rozchętane życie w środowisku paryskiej bohemy.

Druga, Z tej strony, mówi o jego przygodach po powrocie do Argentyny.

Trzecia, Z różnych stron, jest uzupełniającym zbiorem informacji i tekstów, które wedle autora można w lekturze pominąć.

Ale czytając je w kolejności zaproponowanej przez autora, określonej przez niego specjalnym kluczem, adresat powieści włącza się w jej twórczy proces i zdobywa dodatkowe wiadomości o wydarzeniach.

Niezwykła struktura, szaleństwo konstrukcji, wznoszą się w miarę lektury jak psychiczne rozchwiecie głównego bohatera. Horatio, nie ufając żadnym teoriom czy dogmatom, pozbawiony woli działania i władzy samodzielnego sądu, nie zgadza się na rzeczywistość widzialną i mówi grzęznąc w irracjonalnym bagnie wątpliwości: niemożliwe, żeby to było naprawdę, żeby ja był kimś, kto się nazywa Horatio; podważając rzeczywistość, szuka jej głębszego sensu i dochodzi do granicy obłądzenia wierząc równocześnie, że jest coś ponad to, co widzi, że istnieje jakiś inny świat: odbity w lustrze, bez którego jest ledwie własnym sobowtórem.

Mieszkający w Paryżu Horacio, samotnik na własne życzenie, obcy wszędzie, przebywa na stałe w sali pełnej krzywych luster.

Zabłąkany wśród metafizycznych rzek i pustych miejsc, stojący z boku, sfrustrowany obserwator prawdziwego życia, dezerterski z własnej Ojczyzny (Sfrancuziały Argentyńczyk, jak mówi o nim jego przyjaciel), przewrażliwiony poszukiwacz uzasadnień dla swoich filozoficznych buntów, jeden z wielu cudzoziemców tego kraju, porusza się po Paryżu, jak po marzeniach o Buenos Aires. Oliveira, o którym inny bohater powieści mówi: specjalizował się w zaprzepaszczonych sprawach. Najpierw zaprzepaść coś, a potem uganiać się za tym jak wariat, przybysz z

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

kraju yerby i mate, znajduje w Paryżu drugą, inteligentniejszą połowę siebie, Luisę – Magę, wróżkę, niedostępną i niepoznawalną, uosobienie miłości: kobietę idącą w zadumie przez bezmyślny świat. Spotyka Magę, wizjonerkę krain ukazujących się jej pomiędzy tym, co dostrzegalne, a tym, co skąpane w rojeniach i niebieskich obłokach, kobietę, która nie tyle idzie przez świat, co w nim tańczy; jak welon utkany z powietrza.

Cortazar odsłania przed czytelnikiem kolejne warstwy tej samej fizjonomii bohatera. Prowadzi z nim nieustanną grę, językową zabawę w zdzieranie masek. Przed okiem odbiorcy przetacza się więc korowód kompozycji z twarzy. Przyrośnięte na stałe, przymocowane do świadomości potęgą jego pióra, zapadają w pamięć.

Nie pisze utworów nieważnych; zadaje trudne pytania. Na przykład: czy brak rytuału nie jest też rytuałem? Od kiedy falsyfikaty są wiarygodniejsze od prototypów? Bohaterzy tej niecodziennej prozy, uganiając się za poszukiwaniem komentarzy do swojej wegetacji, są w naszym poharatany świecie wiecznymi gimnazjalistami dojrzwania. Zawsze i od nowa są zaskakiwani własną niewiedzą. Stale i ciągle tak samo błędzą niby śmy w stronę ognia. Zawsze i od nowa znajdują się w trakcie realizacji nieznanego scenariusza tworzonego przez nieznanego reżysera i nieprzewidywalnych aktorów, a choć wydaje się im, że pełnią w życiu ważną rolę, w rzeczywistości są tylko znakami czasu i jego symbolami; odgrywają w nim epizody i są do wymiany jak zużyte detale.

Teatralne robinsonady masek, ich przeobrażenia w nowe, są treścią jego twórczości. Przypominają nieprzerwane wkraczanie do gabinetu wypełnionego zjawami o tysiącu sprzecznych intencjach; mówią o niemożliwości międzyludzkiego porozumienia.

Do czego prowadzi nadmierna opieka, widzimy w opowiadaniu „Zdrowie chorych”. Autor zastanawia się nad skutkami naszej reżyserii cudzego życia, nad granicami ingerencji w nie, nad strefą jego intymności, nad tym, do jakiego nieprzekraczalnego miejsca możemy je modyfikować, czy ślepa, zaborcza, a więc infantylna miłość, jest wytłumaczeniem retuszowania rzeczywistości.

Bohaterzy, rodzina, omotani siecią niepowodzeń, tworzą zwarty i szczelny mur chroniący najsłabszego z nich, Matkę, przed wiadomością o śmierci jej syna. Matka rodu wywiera na nich ciągłą i perfidnie zamierzoną presję. To prawie dobrotliwa kura domowa, uczuciowa terrorystka, figura dająca się lubić, zajęta sobą, swoją samolubną, demonstracyj-

ną rozpaczą, parzeniem ziółek na ciśnienie i aplikowaniem sobie maści na dodatkowe utrapienia, pochłonięta ceremoniałem urozmaicającym jej dyrygowanie poczynaniami rodziny, skrupulatnym baczeniem na nią i zwracaniem jej trwożliwej uwagi na swoje zadry w nosie.

Troska o utrzymanie prowizorycznego spokoju w domowym rumowisku, o zachowanie konwenansowego ładu we własnych sumieniach, zmusza ich do intryganckiego wysiłku, do wyzywania losu na udeptaną ziemię, do demonstrowania, udawania czułości, roztaczania opieki, drapieżnej wobec bliźnich, a zgodnej z ich intencjami, skłania ich do postępowania namaszczonego tradycyjnym obyczajem, obyczajem mówiącym o celach poświęconych przez środki.

Przyzwyczajeni są do lawirowania obok istotnych spraw, do unikania kłopotliwej prawdy; tańczą na linii z „litościwej komedii”, a ich spolegliwa gimnastyka wśród pozorów, przychodzi im bez trudu. Aczkolwiek przychodzi im krótko, bo gdy zaprzęgają do swoich karawaniarskich spisków osoby postronne i ledwie symbolicznie związane z tragedią, a to dalekich ziomków skrobiących uspokajające, ocenzone troską, podtykane Mamie listy od ukochanego syna, a to lakoniczne faramuski nadchodzące z rzekomej Brazylii, a to narzeczoną nieboszczyka odprawiającą rytualne dyżury przy niedosłej teściowej – nieubłagany czas sprawia im psikus: okazuje się mianowicie, że tak misternie, cienkim nićmi szyte kombinacje, już dawno temu zostały odkryte przez Mamę i już dawno mogli jej wyjawić to, o czym wiedziała.

W ostatnim zdaniu opowiadania „Wszyscy kochamy Glendę”, Cortazar stwierdza: „nie można zostać zdjętym z krzyża i zachować życie”. Dlatego tytułowa postać, filmowa, niepotrzebnie żywa aktorka, musi umrzeć, bo jej sztuczny, wyidealizowany portret, nie pasuje do przyjętych reguł fikcji; jest niezgodny z ideałem. Tak też jest w opowiadaniu „Instrukcje dla Johna Howella”. Pisarz sprowadza całą rzecz do absurdu: mówi, że uwolnienie się spod presji podjętej gry w udawanie, są to mrzonki, że decydując się na wybraną, trzeba być jej świadomym; od szaroburej egzystencji nie ma ulaskawienia: jest ona obowiązkiem przypisanym do komfortu naszej obecności.

Dopisek:

Zofia Chądzińska, kongenialna tłumaczka jego utworów, powiedziała, że cortazarowski język pisania jest dożylny. Rzeczywiście, proza ta zawiera w sobie coś z iniekcji słowem: szybkie przenikanie do wnętrza literackiego krwiobiegu, skuteczną kuracją i radykalne zmienianie czytelniczej duszy. A w przedmowie do jednej z książek Cortazara Pani Zofia pisała: cytowało się go, mówiło nim, ludzie pisali do siebie listy, przepisując

niektóre partie *Gry w klasy*, powstawały specjalne kluby jego wyznawców.

George Orwell

Nie zabraknie twarzy,

które można deptać

Rok 1984

Wygodnym przywilejem schyłkowego wieku jest szukanie dziur w całym; niekiedy bywam jak inżynier Mamoń z filmowego Rejsu: wtykam nostalgiczny nos w to tylko, co przykleiło się do moich wspomnień. Lubię konfrontować dzieła. Zderzać pachnące dobrym stylem, z oderwanymi od piękna. Sięgam wówczas do lektur pożeranych za młodu, a za towarzyszkę mam Panią Gniew. Toteż ze względu na niedostatek kronikarzy teraźniejszości, zabrałem się za ponowne czytanie Orwella. Za powtórne ujrzenie jego cmentarnych wizji nadchodzących lat. Bo wiem z wielu powodów utwory te są ciekawe, a najważniejszym wnioskiem wypływającym z ich lektury jest spostrzeżenie: niezadługo nastąpi czas żniw i przyjdzie nam zapłacić za manipulowanie Historią.

Począłem więc studiować mechanizmy tychże procesów. Zająłem się przyczynami kosmetyki dziejów, ich gorliwym dostosowywaniem do bieżących wydarzeń, ich pracowitym przeinaczaniem, modyfikowaniem, poprawianiem i zamazywaniem. A także zastępowaniem rzeczywistości – falsyfikatami, namiastkami.

W satyryczno-groteskowym utworze, *Folwark zwierzęcy* (napisanym w roku 1945) zjawiska te zostały ledwie naszkicowane, by, dopiero w powieści antyutopia *Rok 1984* – uzyskać pełen kształt. Ale choć jego myśli zostały rozwinięte do granic przerażającego absurdu, nie są przecież odbierane tak, jak zostały napisane: nie są ostrzeżeniem, krzykiem protestu czy oburzenia.

Przeciwnie: staramy się upchnąć jego profetyczne dzieła do rozrywkowych przegródek z bajkami. Podziwiamy wyobraźnię autora, mając za nic ich przesłanie.

Orwellowskie słowa przebiły się do masowej świadomości i wchodząc do repertuaru popularnych powiedzeń, stały się cytatami. Lecz są to cytaty przywoływane mechanicznie i bezrefleksyjnie; równi i równiejsi, Wielki Brat, dwie minuty nienawiści, nowomowa, dwójmyślenie, to zaledwie kilka z nich. Potwarzane jako określenia nonsensów znanych z autopsji, stanowią rodzaj uspokajacza sumienia. Kiedy natykamy się na sytuację opisaną i przejawskrawione w jego powieściach, kwitujemy je z niepojętą ulgą: on już to przewidział. Czyli, jakbyśmy mówili: on to zrobił za nas. Co poniekąd usprawiedliwia i zwalnia nas z przeciwdziałania.

cdn.

Marek Jastrząb

MNIJ WIĘCEJ (134)



Foto: Zofia Mikula

Opętani sonetem?

Sonet to jeden z najstarszych gatunków lirycznych. I nie tylko przetrwał do dzisiaj, ale wciąż miewa się dobrze. Cezary Sikorski, założyciel i właściciel oficyny Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, wpadł na pomysł „sonetowej demonstracji”. Zbiór nosi tytuł „Sonet. Spętanie” i prezentuje po garście sonetów pięciu współczesnych autorów. Ładna to demonstracja, że sonet „wiecznie żywy”. I wiecznie różnorodny. I niezłe czujący się pośród zupełnie nowoczesnej grafiki Przemysława Cerebiez-Tarabińskiego.

LESZEK ŻULIŃSKI

Oto – po kolei – kilka słów o wkładzie każdego autora w ten zbiorek...

Pomysłodawca i wydawca, Cezary Sikorski, otwiera ten tomik jednym sonetem, zatytułowanym *W domu sezonowym*. Zrezygnował z rymów, no ale strukturę stroficzną już musiał uwzględnić. Zastosował klamrę: inny jego sonet ten tom zamyka. Oba wiersze – jak to u Czarka – mięsiste od treści.

W tej klamrze, ładnie narzuconej przez Sikorskiego, mieszczą się sonety pozostałej czwórki autorów. Najpierw Izabela Fietkiewicz-Paszek. Dała do druku dziewięć sonetów. Wyjątkowa sytuacja, bo to jest zwarty cykl. Cykl o tragicznych losach Żydów kaliskich w czasie okupacji. Fietkiewicz tą tematyką zajmuje się od dawna. Toteż wiersze zawierają konkretny weryzm historyczny, ale to wszystko nasycone jest w jej sonetach empatią, która mnie doprowadzała na granicę płaczu. Jak wiadomo, chłopaki nie płaczą, ale... Poruszające, a nawet wstrząsające wiersze, na dodatek opatrzone licznymi przypisami, co rzadko się zdarza w poezji. Ale dobrze, że one tu są. Co ciekawe: zazwyczaj jakaś ostatnia fraza jednego sonetu pojawia się także na początku sonetu na-

stępnego, toteż ten „smutny wieniec” jest wieniecem znakomicie zwartym. W sumie powstał krótki cykl historyczny. W prozie, w eseistyce byłoby to normalne; w liryce zdarza się nieczęsto, jednak tym razem mamy do czynienia z czymś więcej niż z garścią wierszy. Mamy do czynienia z „lamentem historycznym”, z dokumentem, z raną po Holokauście, która – jak widać – wciąż się otwiera...

Potem „mały przerywnik” – jeden sonet Darka Foksa. Pojawia się w nim reżyser Smarzewski kręcący film pt. „Wołyń” (którego premiera dopiero przed nami w październiku). A więc znowu historia... Dziwna, wplatająca w zupełnie dzisiejszy świat sepię przeszłości. Impresja, ale osobliwa i nastrojowa. Odprysk przeszłości w teraźniejszości...

Trzecią inwazję sonetu zafundowała temu zbiorkowi Teresa Rudowicz. Podała do druku – jak Iza – dziewięć sonetów. Ale tym razem mamy do czynienia z innym światobrazem. Choć pierwsze trzy sonety też mają korzenie w „kaliskim Holokauście”; jak widać Iza i Teresa – przyjaciółki – bardzo mocno oddane tamtej tragedii. Animując poza tym w ostatnich latach kaliskie życie literackie, bardzo wiele zrobiły dla upamiętnienia i „opłakania” tamtego ponurego czasu. Ale większość pomieszczonych tu sonetów Teresy ma inną inspirację – kulturową. Rudowicz weszła w cudowne „muzeum”: znajdziemy tu van Gogha, Dalego, Muncha i Leonor Fini. Poetka jakby stała przed ich obrazami i sama zaczynała żyć tym, co widzi przed oczyma duszy swojej. Ach, cóż za wyobraźnia, jakie rozgrzane emocje! Dla przykładu cytuję w całości sonet pt. z *Muncha: długo nie wiedziała o istnieniu drugiej, / chociaż przechowane niewidzialne byty / układały znaki, starannie ukryte / lubiły dotykać w nocy, czasem budzić. // delikatnie musnąc, jakby pocałunkiem / świadczyły, jesteśmy, tak było od dziecka, / od kiedy pamięta albo chce pamiętać, / to jedno jest pewna, ona przyszła później // może wtedy, kiedy skończyły się słowa, / krew zmieniła obieg, przestała pulsować, / i niepostrzeżenie zamiana rolami // stała się możliwa, jeszcze w krajobrazie, / ale już pozwala tamtej przejąć władzę, / żeby znowu oddychać, śnić i nie oszaleć.*

Sonet Teresy są „gęste”, namiętne, wrzące. Emocjonalne i zarazem intelektualne. Ot – cała ona!

No i po niej Aleksandra Słowik. Jej późny debiut już nam się „cudownie osłuchał” i szybko uplasował jej pisanie na wysokiej półce. Podobnie jak Rudowicz, Słowik jest tu na swój sposób „zaczarowana” i magiczna. Aura, aura i jeszcze raz aura – to niepowtarzalność tych wierszy. A w nich – refleksja egzystencjalna. Wszystkie tutaj sonety Pani Oli mają nadtytuł *Notatki z Borgesa*. No i Borges pojawia się tu często, więc sami sobie (póki tomiku tego nie kupicie) do-

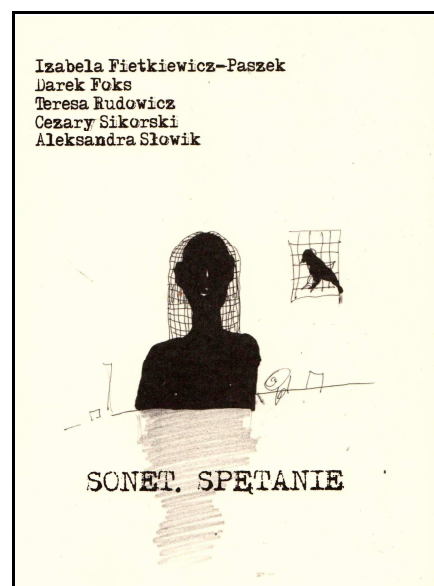
śpiewajcie gęstość tej aury i jej przesłania.

Jak już wspomniałem na początku, Cezary Sikorski zamieścił tylko dwa sonety. Pierwszy tomik otwiera, drugi – zamyka. Klamra! Ten ostatni wiersz jest klasycznie autotematyczny. W nim szamoce się „spętany sonet”. Słabowity, ślaniający się na nogach, chcący wyrwać się „ku czynowi”, lecz zatrzaśnięty w gorsecie formy... Ładna pointa!

Tom został opatrzony posłowiem Edyty Antoniaka-Kiedos. Bardzo solidnym. Omalwa ona celnie teksty pomieszczonych tu autorów, ale wcześniej pisze: *Zapłatać się w sonetach oznacza dla mnie tyle, co pozwolić się uwięzić ich tematyce, obrazowaniu czy językowi, tak by wręcz poczuć je na własnej skórze. Raczej nie zaplątujemy się jednak z własnej woli, musi być jakiś czynnik, który nas owija, krępuje, a z czasem nawet unieruchamia.* Dlatego właśnie sonet chciał się wyzwalać i z biegiem lat mnożył swoje warianty formalne; szukał dziury w płocie, czyli zerwania kajdan.

Spętanie sonetu – że odniosę się do tytułu książki – jest w tym zbiorze w zasadzie jego rozpętywaniem. Jak wiadomo sonet przez wieki trzymał się dwóch żelaznych reguł: był zbudowany z dwóch kwadryg i dwóch tercyn oraz określonego układu rymów. Doczekał się z biegiem czasu różnych odmian, obecnie coraz częściej sonety pisane są bez rymów. Czyli są to „sonety białe”. Dla mnie to sprawa dyskusyjna, bowiem zbyt daleko posunięta wydaje mi się taka modernizacja. Nie jestem jej wielkim admiratorem, ale poezja już nie takie reguły burzyła, wolno jej teraz wszystko, a więc trudno... Tak czy owak ten zbiorek mogą tylko chwalić za jego poziom autorski i edytorski.

Izabela Fietkiewicz-Paszek, Darek Foks, Teresa Rudowicz, Cezary Sikorski, Aleksandra Słowik *Sonet. Spętanie*, Zaulek wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2016, s. 58.



Krzysztof Galas

Matka poetów

Helenie Gordziej

tak ją nazywał Wincenty Różański
tych którzy mają talent
kierował do niej
pod skrzydła metafory

Wielu dotarło do mistrzyni słowa

Ona zawsze gotowa do pomocy
wypatrywała iskierki talentu
w wątpliwych treściach
młodych adeptów

Dzisiaj Matka poetów marszczy brwi
spojrzeniem pełnym rezygnacji
podsumowuje życie
zamknięta w pudełku mieszkania
patrzy przez okno
odlicza samotne lata
akceptuje upływ czasu
nie czuje urazy do wiosny
szanuje prawo lata do istnienia
choć wyjście do sklepu w słoneczny dzień
sprawia fizyczny ból
(z każdym rokiem światłowstręt
coraz mocniej daje się we znaki)

W jednej ręce ścisza banknot dla znajomego
zebraka
palce drugiej opiera na piórze

Walcząc z demonami samotności
obnaża niezmienną słabość ludzkiej natury

Modlitwa o błękit

Ten dom miał mieć jasne pokoje
pachnące drewnem podłogi
i gładkie poręcze na krętych schodach

Nie ma domu ani mebli
jest nowa epoka
dawno już nie moja

Nie rozumiem tego świata
i rządzących nim praw

Codziennie modlę się o błękit
co ukłułby ślepe oczy
chłodną barwą
i oczyścić głowę z wątpliwości

Przekwitają moje sady
noce ocierają się o bezsenność
świty pachną zniechęceniem

Kłaniam się losowi
czuję rosnącą wdzięczność
za każdy kolejny zanik pamięci

Czas i miejsce

Najpierw wystarczy
świadomie celebrować noc
niemalże wątpić w nadejście
nowego dnia

Później
kiedy świt obudzi dobrotliwy uśmiech
trzeba wytrwale ścierać kurze
z mebli i obrazów
osuszać drobne łzy na policzkach
hojnie rozdawać pocałunki

Wreszcie na koniec
najlepiej jakoś pod wieczór
zapomnieć o bólu ramion
usłyszeć echo wytęsknionych kroków
na drodze do celu
Uznać właściwy czas i miejsce

Gaśniesz

zgodnie z taktem ciągłych poświęceń
w rytmie leniwego bezwładu
i niezdolnej winy

Nikniesz na pustyni nieomówień
w przeświadczeniu że nie cofniesz
minionego czasu

Odchodzisz jak stara komediantka
w papierowej czapce ostatnich złudzeń

Twoje myśli nauczone pokory
w każdej chwili głodne
zawsze spóźnione
wysuszone jak liście

Los pieczętuje starość nudą

Jeszcze nie jesteś martwa
choć widoczna słabość
domyśla się celu
mści się na urokach wspomnień
psuje nastrój

Pochylasz się nad porą odejścia

Bez żalu?

* * *

Znika błękit roztańczony
odsuwa się
ustępuje miejsca
zjawiają się zawzięte chmury
tłuste siwe matrony
opasłe i leniwe
rozsiadają się wszędzie
zanim napoją deszczem
do bólu wyschniętą ziemię

Ogromne krople
ślizgają się po brudnej szybie

Teraz kiedy poczułem
ciepło oddanej kobiety
powoli godzę się z nieuniknionym
już mnie nie martwi
że moje oczy nie są głęboką zielenią
a jedynie dwoma kawałkami
gładkiego plastiku

Uchodzi ze mnie niepewność
ustępuje rozdarcie
przestaję się jąkać
wrywam się z kręgu wmówionego mi
nieszczęścia

* * *

Moje źrenice zapominają barwy
niebezpieczny świat
poznają przy pomocy rąk
palce suną łapczywie
po szczegółach kształtów

Moje dłonie muszą umieć więcej
bo oczy dotknięte wrodzoną wadą
okazały się bezużyteczne

Skazany na ćwiczenie woli
połączone z obowiązkiem godzenia się
z bezlikiem bolesnych sytuacji
podejmuję trudne wyzwania
nie ulegam ślepej niemocy
nie pozwalam się wykłuczyc
ani zepchnąć na margines

Cenię to życie wydrążone ze światła
z każdym dniem mocniej

Szczęśny Wroński

Gdybym

gdybym był ptakiem
skrzydła włókiłbym po ziemi
co za stereotyp „fruwający w przestworzach”

gdybym był gadem
wspinałbym się na szczyty
po co miałby ktoś deptać moją płaską głowę

gdybym był trawką
skreśliłbym słówko „jarać”
zachęcałbym do tańca wokół kopki siana

gdybym był drzewem
ściąłbym się na papier
po co głupio szumieć jak można krzepić serca

gdybym był wódką
zmieniłbym się w konwalię
i posiadałbym elektorat rozwąchanych tłumów

gdybym był ogniem
zgasłbym natychmiast
niech zatęsknią do światła pławiący się w
ciemności

gdybym był strumieniem
wycofałbym się w góry
niech tropią mnie po śladach świeżości spragnieni

A gdy jedyną skałą
roztrząskalbym się w piasek
niech wszystkie dziwki czasu wyją za opoką

Różaniec słów

dawniej oczekując na sygnały z głębi
przesiadywałem nad pustą kartką
z długopisem

teraz czatuję przed jarzącym ekranem
z niecierpliwymi palcami nad klawiaturą

czasem sygnały przychodzą w formie słów
znaków przestankowych nie zapisuję

wolny wiersz wyrwany z ciemności
wyłania się literka po literce w różańcu słów

bywa wyradza się w metaforę rzeczownikową
zwaną ostatnią deską ratunku brzytwą

zdarza się że nic z tego nie pojmuję
jednak chwytam jakiś drażący sens

mój ojciec szlachetny ateista łowiący ryby
wymyje haczyk z błyszczącego pyszczka

stoi na brzegu z palcem na ustach

Czas rozpocząć

zdegenerowały się moje litery
nie wiem czy wiesz co to znaczy
gdy nie możesz przeczytać sam siebie
zdeformowane brzuszki ramiona i poprzeczki
grafologiczny kosmos, w którym zaczynam
się gubić
nie potrafię już odróżnić „m” od „w”
„n” zlewa się z „s”
„p” gubi ogonek a „r” staje się hieroglifem
nie do odszyfrowania
na szczęście moja córeczka Agnieszka
zobaczyła co się święci i dzięki jej staraniom
na nowo podjąłem trud nauki pisania
uczę się z jej elementarza powoli odbudowuję
kształty utraconych liter, słów

czuję jak wraca do mnie życie
skotłowane myśli ustawiają się w ordynku
ogarnia mnie opanowanie i spokój

błogosławione niech będą początki
błogosławione niech będzie źródło

błogosławiony czas pierwszej klasy
powoływania z mroku kształtów

Oby nie umarli

Samokrytyka

dawniej
gdy napisałem wiersz
wyobrażałem sobie
że wielcy poeci
rzucą mi się w objęcia

teraz
też tak sobie wyobrażam

widzę Rilkego Borgesa
Szyborską
jak tulą mnie do swoich łon
i szepczą
- witaj w krainie wielkości

więc pieścę się tą wielkością
podziwiam krągłość toczącego się słowa
z rozkoszą znaną tylko starożytnym
rozpustnikom

pławię się w oceanie znaczeń
tropiąc nieznaną głębię języka

dopiero gdy w kuchni zacinam się w palec
krojąc kromkę zwykłego chleba
klnę głośno i mówię do siebie
boże, jaki jestem głupi

Tomasz Kukliński

Uczta

Wyobrażam sobie ucztę na której
wino kapie ze wszystkich policzków
a ze ścian sływa spocona noc
gdy biorę na kolana piękno
o stopach bosych i chłodnych
dźwięki harfy kojarzą się
ze skrzypieniem uchylonych drzwi
przez szparę w sercu spogląda obietnica
złożona niegdyś w pośpiechu
oto smutna jutrzenka
taniec dobiega końca
splciona w warkocz muzyki
wzruszeniem ramion
szepczesz
odejdz

Pieta

Jakże ty jesteś piękna kobieto-matko
gdy krwawisz łzami paradoksów
twoje biedne białe dłonie
skąpane w refleksji
zmuszone przez wieki dźwigać ciężar zmar-

twychwstania
zestarzałaś się matko
bez odrobiny uśmiechu
dogmat jak skalpel rozpruń twój brzuch
łaski pełen

Dom

Moje wyobrażenie o domu to myśli
o włosach matki
czarnych jak kawa rozlana w pół życia
i znów przebiera palcami po niebiosach
szykując zupę przyslaniając okno
spada na mnie ta wizja gdy czuję gniew
że drobne stare dłonie zanoszą niebu
szkice wszystkich zmartwień
dziwnie mi z myślą o jej uśmiechu
gdy byłem nie tak nie dość nie dziś
przegryzam wtedy fiołkę ze wspomnieniem
i po chwili śmierci na pół dzieli rozterkę

Moja Eurydyka

Wydobyta z płaszczyzn
płynie ku gwiazdom
zwielokrotniona ciałem
i światłem
bez początku
bez lęku
pod skórą
wciśniętą w czas
sklejają się oczy z jej pięknem
gdy wypiętrzają się formy
palce upięte w warkocz
studzą wosk
obracałem się wielokrotnie
lecz znikąd kochania
nawet
ku śmierci bez zwycięstwa
żyć
z dala od zmarłych

Ironia

Dłonie dziewczęcia przypominały klucze
misternie zdobione miedziane
sprytnie przebierała nimi po łóżku
szukając niby to ołówka niby książki
zegary jak kruki wydziobały okrychy lat
w turkusowej pościeli gniło już ciało
przeobrażając się z wolna w wonną starość
nie pomogło naiwne odwracanie głowy
ani wewnętrzny krzyk duszy
śmierć już plotła siwy warkocz włosów
na złość przechodniom wracającym pod
rękę z teatru



Dariusz Pawlicki

O nieistniejącym (jeszcze) społeczeństwie mecenasów

„Rzeczy tworzące naszą cywilizację (...) nie powstały dzięki nam samym (...), lecz dzięki trudom i cierpieniom nieprzerwanej wspólnoty ludzkiej, której jesteśmy ogniwem (...). Na nas ciąży odpowiedzialność za dziedzictwo wartości, które przypadło nam w udziale, za jego przechowywanie, przekazywanie, doskonalenie i rozszerzanie, tak, by ci, którzy przyjdą po nas, mogli je przejąć jako trwalsze i pewniejsze, jako bardziej dostępne i hojniej rozdzielone pomiędzy wszystkich”.

John Dewey, Common Faith

Tzvetan Todorov w *Ogrodzie niedoskonałym**, między innymi, napisał: „Montaigne uważał, że ludziom trzeba pozwolić na kierowanie własnymi sprawami nie dlatego, że są dobrzy i inteligentni (bo nie są), lecz dlatego, że nikt tego za nich nie zrobi”.

Pominę, przynajmniej w tym tekście, przekonanie Michela Montaigne'a, że ludzie nie są dobrzy i inteligentni. Natomiast skupię się na jego zdecydowanej, niezabarwionej żadnymi wątpliwościami, pewności, że nikt, tylko każdy z nas indywidualnie, winien kierować własnymi sprawami. On, żyjący w latach 1533-1592, o tym wiedział. Ale dlaczego ogromna większość spośród ludzi wiodących życie na początku XXI wieku, w tzw. świecie zachodnim, nie ma nic przeciw temu, aby w tak szerokim zakresie kierowało nimi mrowie urzędników wszelkich szczebli? Uważa to przy tym za rzecz jak najbardziej normalną. Mało tego, wręcz nie wyobraża sobie, aby mogło być inaczej. Czy to przekonanie wynika z braku wiary we własne siły, przyzwyczajenia czy braku samodzielności, a może jest wynikiem lenistwa? Powody najpewniej są różne. Lecz nie można wykluczyć i tego, że w przypadku niektórych osób, w grę wchodzi wszystkie wymienione przyczyny.

To właśnie z tytułu owego kierowania (rządzenia) wspomnianymi urzędnicy są opłacani (niektórzy sownie). Lecz czy naprawdę należy oddawać tak wiele, jak to ma miejsce, osobistej suwerenności w ręce ludzi, których osobiście znają bardzo nieliczni, a pozostali, co najwyżej, z imienia i nazwiska? Moim zdaniem odpowiedź winna brzmieć: Nie!

Spod pióra rodaka Montaigne'a, ale żyjącego dwa i pół wieku później, Alexisa de Tocqueville'a (1805-1859) wyszło i takie oto zdanie: „Naszycy współczesnych ustawicznie zrzęcają dwie sprzeczne namiętności: potrzeba, by ktoś prowadził ich za rękę, i pragnienie zachowania wolności. Nie mogąc pozbyć się

żadnego z tych przeciwnych instynktów, starają się zaspokoić oba naraz”. Z dwóch sprzeczności wskazanych przez Tocqueville'a wybieram tę drugą, z pierwszej, ochocho rezygnuję.

Jest jednak tak, jak jest: jesteśmy we władzy ludzi specyficznej profesji. Owo powierzenie swego losu w ręce innych, dotyczy zresztą każdej dziedziny ludzkiej działalności. I rzecz jasna jest bardzo wiele przesłanek ku temu, aby w imię dobra wspólnego zrezygnować z części indywidualnej wolności (niezależności) – takiej potrzeby nie neguję. Zwracam jedynie uwagę na skalę zjawiska! Rzecz w tym, iż ta rezygnacja może być większa bądź mniejsza. Ale tak jakoś „dziwnie się” dzieje, że jest ona, niestety, większa, coraz większa! To znaczy – inaczej niż bym oczekiwał. Jak mogłaby wyglądać rzeczywistość kształtowana przez ludzi tworzących pewną wspólnotę, choćby narodową, ale polegających, przede wszystkim, na sobie, przedstawiają na przykładzie kultury, która jest mi szczególnie bliska. Właśnie na jej przykładzie, a nie, chociażby, polityki, gdyż, jak stwierdził Aleksander Sołżenicyn: „Życie polityczne nie jest wcale głównym przejawem życia człowieka, polityka nie jest bynajmniej upragnionym zajęciem dla większości ludzi. Im bardziej rozbuchane w kraju życie polityczne, tym więcej ponosi strat życie duchowe. Polityka nie powinna dławić duchowych sił i twórczego tchnienia narodu”**. A ponieważ polityka jest przede wszystkim przejawem władzy państwowej w dziedzinie społecznej, gospodarczej, kulturalnej, wojskowej, jak też innych, więc zacytuję taką oto myśl Andrzeja Strumiłły: „Największym wrogiem państwa jest życie duchowe jego obywateli”***. Nad owym życiem, jak nad żadną inną sferą działalności człowieka, państwu, jakiegokolwiek by ono nie było, najtrudniej jest bowiem roztożyć kontrolę. Dla wielu państw, a konkretnie pewnych ich instytucji, istnienie owej trudności było i jest, niemal, zniewagą!

Wrogię kulturze, i to często wbrew zamierzeniom swoich inicjatorów, jak też na przekór nazwie, jest państwo kulturalne (określenie, zdawałoby się, jak najbardziej pozytywne). Takiego terminu (czy swego autorstwa?) używa Marc Fumaroli w książce *Państwo kulturalne; religia nowoczesności***** na określenie sytuacji, gdy państwo, a konkretnie państwo francuskie, za pośrednictwem swych agend, od kilku ostatnich dzie-

sięcioleci wywiera potężny, wręcz dominujący wpływ na kulturę. Przyczyniając się do jej kształtowania na miarę potrzeb rządzących koterii, grup sprawujących władzę. A kultura „przykrawana”, kształtowana, to, jak twierdzi Fumaroli, „innymi słowy – propaganda”. Propaganda ta ma służyć grupom „trzymającym władzę”. To właśnie na jej rzecz działają urzędnicy reprezentujący najpotężniejszego mecenasa francuskiego, to znaczy, wspomniane, państwo. To oni decydują bowiem o tym, kto konkretnie, a także jakie przejawy owej kultury, wypłyną na, przysłowiowe, szerokie wody. Celowi temu służy, między innymi, organizowanie wielkich wydarzeń kulturalnych, na przykład wystaw obrazów o światowej renomie, mających sprawić, aby oglądający poczuli, że kultura, i to ta najwyższego lotu, wszelkimi porami przenika do ich wnętrza. Nawiasem mówiąc, czy można mówić o jakimkolwiek kontakcie z dziełami, gdy jest się pośród tłumy? A organizatorem właśnie na tych tłumach najbardziej zależy. Dlatego tak wiele, i to praktycznie za wszelką cenę, czynią, aby były one obecne.

Za sprawą kierowania (chciałoby się powiedzieć – ręcznego) kultura, przynajmniej ta ogólnie dostępna, traci swoją pierwotną wielopostaciowość, wielopoziomowość. To znaczy ubożeje za sprawą narzucania ludziom/obywatelom tak „uśrednionej” oferty kulturalnej, aby jak największa liczba odbiorców mogła znaleźć w niej Coś dla siebie. Tak więc to, co nie mieści się w tej „uśrednionej” kulturze, według państwa kulturalnego, a dokładniej mówiąc – jego funkcjonariuszy, nie zasługuje na uwagę (proszę zauważyć, jak wielką rolę w państwie kulturalnym odgrywa to, co można policzyć: liczba sprzedanych biletów, zwiedzających, wystaw; wysokość budżetu itd.).

Kultura jest tą dziedziną ludzkiej działalności, którą, tak jak zresztą pozostałymi, w naszej części Świata, zawiaduje ministerstwo kierowane przez ministra. Nazwa tego resortu w różnych krajach jest różna, ale najczęściej występuje w niej słowo „kultura” (choć pełna nazwa może zawierać także inne) odmienione w drugim przypadku.

Ministerstwo kultury – ministerstwem kultury, ale w tej dziedzinie najwyżej mogłoby zależeć od obywateli. Mogłoby, ale jest

inaczej. Choć o tym, że oni są najważniejsi, mówi się, a jakże. Rzecz jednak w tym, że wygłaszane są opinie jednostronne. Owa jednostronność polega na podkreślaniu, że kultura nie może istnieć bez odbiorcy. W takich sytuacjach informuje się, jak wiele osób obejrzało jakiś film, zakupiło tę czy inną płytę muzyczną itd. Ale nie czyni się kroku dalej, aby pokazać/wskazać, choćby w czasie powtarzających się kłopotów finansowych ministerstw kultury, że byłoby jak najbardziej wskazane, aby jak najwięcej spośród nas stało się... mecenasami. A doprecyzowując: ludźmi świadomymi możliwości jakie daje/stwarza indywidualne wspieranie kultury, czyli mecenat na skalę może niewielką, ale bardzo istotną (zwłaszcza, kiedy weźmie się pod uwagę możliwą liczbę potencjalnych mecenasów). Początkiem musiałyby być jednak uświadomienie sobie przez kolejne osoby, że wydają pieniądze nie tylko, aby Coś nabyć bądź Coś zobaczyć, ale także po to, aby Jakąś inicjatywę lub Kogoś wesprzeć. A niekiedy, dosłownie, utrzymać przy życiu. Z tego względu dwa słowa spośród tych, jakich dotąd użyłem w tym eseju, są kluczowe ze względu na jego przesłanie: świadomość i mecenat. A to dlatego, że uważam, iż każdy z nas, najczęściej w sposób skromny, ale jednak, ma możliwość, swoistego rodzaju, opieki nad tą czy inną dziedziną kultury. Branie pod uwagę czynnika finansowego jest, oczywiście, niezbędne, wręcz konieczne. Zresztą określenie „mecenat” zawiera wyraźne odniesienie do sfery finansowej (na takowym wsparciu, w znacznym stopniu, polegała działalność Caiusa Cilniusa Maecenas, od którego nazwiska wzięła się nazwa działalności mającej na celu opiekę nad sztuką, literaturą, nauką; także nad jej twórcami). Brak owego wsparcia, najpewniej, nie zaszkodzi tradycyjnej kulturze ludowej (to fakt, że będącej w odwrocie), jak też jej współczesnej wersji – to znaczy popkulturze, którą współtworzy na przykład hip-hop. Natomiast istnieć przestaną, albo zostaną ograniczone te obszary kultury, które wymagają dłuższego czasu na powstanie dzieła bądź zakupu wielu komponentów/elementów, aby mogło dojść do jego stworzenia. Przykładem może być rynek prasy literackiej (ze szczególnym uwzględnieniem tej jej części, która ukazuje się w wersji papierowej). Wspominam o czasopiśmie literackich, jak też społeczno-kulturalnych (literatura jest w nich obecna, nie tylko w postaci różnych omówień, recenzji), ponieważ wspieranie ich może służyć jako ilustracja działania indywidualnego mecenatu. A jemu właśnie, jak już podkreślałem, przede wszystkim poświęcam ten tekst. Przykład prasy wspomnianego rodzaju jest interesujący, choćby, z tego względu, że nakłady tworzących ją tytułów są, niestety, niewielkie. Regułą jest 300-800 egzemplarzy. Bardzo rzadko w grę wchodzi 2000 egzemplarzy. Lecz w sytuacji, gdy wysokość nakładu jest taka, jaka jest, to znaczy najczęściej niska,

jeden więcej sprzedany, albo zwrócony wydawcy egzemplarz, nie jest błahą sprawą. A stała liczba zakupionych egzemplarzy (oczywiście, najlepiej, gdyby był to stały wzrost) gwarantuje istnienie tego czy innego tytułu. Jest też dopingiem/zachętą dla redakcji do kontynuowania działalności. Stanowi również podstawę do snucia planów na przyszłość. I to nawet wtedy, gdy pewną liczbą nabywców konkretnego tytułu, kieruje się przy zakupie, nie jego całą bądź prawie całą zawartością, ale tylko tym, że publikuje w nim autor, którego twórczość podziwiają. Bez względu na to z jakiego rodzaju czytelnikiem ma się do czynienia, niezmiernie ważna jest jednak owa świadomość (najczęściej jednak jej brak), że nie chodzi wyłącznie o sam zakup. Ale również o mecenat – świadome przyczynianie się do istnienia/trwania Czegoś. Zresztą może on przybrać też formę darowizn przekazywanych na rzecz wybranego/wybranych tytułów. W tym wypadku systematyczność i stała kwota nie są istotne. Liczy się bowiem każdy taki gest – jest bowiem dodatkowym wsparciem.

Piszę o tego typu prasie, gdyż po pierwsze, jak już wspominałem, jest znakomitym przykładem możliwości tkwiących w każdym człowieku jako potencjalnym mecenasie. Po drugie, zwracam na nią uwagę, gdyż powszechne są utyskiwania na szczupłość tego rynku, na znikanie z niego kolejnych tytułów (dotąd istniejące niekiedy zastępowane są nowymi), na ograniczanie nakładów. Wystarczy jednak zapytać jednego czy drugiego utyskiwacza w powyższej kwestii, aby niezwykle często dowiedzieć, że nie kupuje on prasy literackiej w ogóle, albo czyni to sporadycznie. Nie widzi bowiem zależności pomiędzy sytuacją w konkretnej dziedzinie, a swoim postępowaniem. To zresztą jest kolejny przykład na dostrzeganie przyczyny jakiegoś zjawiska w czynkach bądź poniechaniach ze strony Innych! Winni zawsze są Inni!

Podobnie jak z prasą, rzecz ma się z teatrami czy kinami. Nie kupując biletów do tych instytucji sprawimy, że one w końcu przestaną istnieć. Tak więc chodząc do nich (używam formy „my”, ale nie uczęszczam do tych placówek, przyznaję się), aby obejrzeć najnowszą inscenizację czy też film ulubionego reżysera, winniśmy być świadomi tego, co spowoduje nasze poniechanie w tym względzie.

Nie inaczej jest z księgarniami. Przykładowo w rejonie swego zamieszkiwania mamy dwie księgarnie. Jedna z nich jest niewielka, z miłą atmosferą, właścicielem orientującym się znakomicie w świecie książki, z tym, że ceny oferowanych w niej pozycji są wysokie. Druga księgarnia (oferuje nie tylko książki) jest kilkupiętrowa, pośród sprzedawców wciąż pojawiają się nowe twarze. Ale książki oferowane w niej są tańsze niż w tej pierwszej. Aby poodychać „książkową”, niemal intelektualną atmosferą, porozmawiać, nie tylko o nowościach, ale w ogóle o książkach, przewer-

tować interesujące pozycje, chodzimy do tej mniejszej. Natomiast w celu nabycia jakiegoś tytułu – do tej większej. A gdy, po jakimś czasie, ta pierwsza upadnie, będziemy żałować, i to bardzo, że kolejny raz zwyciężyła komercja. Zwyciężyła, gdyż jeden z drugim, trzecia z czwartą przyczyniła się do tego. Niestety, najczęściej nie towarzyszy temu żadna refleksja!

Ceniąc pracę jakiegoś, na przykład, grafika, choćby od czasu do czasu zakupmy pracę, która wyszła spod jego ręki. Po to, aby miał na wikt, opierunek i kwaterunek. Bo to, że będzie tworzył, nawet wtedy, gdy nie dokonamy żadnych zakupów, jest pewne. Nie kieruje się on bowiem racjami ekonomicznymi. Do tego imperatywu tworzenia jest siłą nie do okiełznania – artystą się jest, a nie bywa nim. Podobnie zresztą jest z prozaikami i poetami.

Często, wręcz bardzo często, nie zdajemy sobie sprawy, że nasze poczynania i zaniechania mają daleko idące konsekwencje. W tym przypadku – w różnych dziedzinach kultury.

Jeżeli będziemy reprezentować typ wspomnianego mecenasa, wówczas aktywność bądź bezwład w rozmaitych dziedzinach kultury, nie będą zależały, w tak znacznym stopniu jak dotąd, od „rozdawców” rozmaitych grantów lub od ich braku. A nikt sprawami kultury nie pokieruje lepiej niż my sami, to znaczy jej bezpośredni odbiorcy (także jej twórcy, ale o nich w tym eseju będzie niewiele). Jest jednak istotny do spełnienia tego warunek, który powtórzę: musimy zdawać sobie sprawę z tego, że tak wiele od nas zależy. I to wbrew temu, co przywykło się twierdzić! A gdy to sobie uświadomimy, dobrze byłoby, abyśmy uczynili krok do przodu...! Wtedy zaś, żeby już pozostać przy przykładzie czasopiśmienniczym, nie będą miały miejsca ograniczenia w liczbie ukazujących się tytułów, jak też zmniejszenia ich nakładów. No ale skoro brakuje indywidualnych, to znaczy licznych, ale drobnych mecenasów, to jest jak jest... W tym wypadku siła jest w masie; konieczne jednak myślenie.

Ale rola mecenasów nie sprowadza się wyłącznie do wspierania takiej czy innej instytucji związanej z kulturą, gdyż, jak zauważył Marc Fumaroli: „Nigdy dość powtarzania, że talent mecenasa jest akuszerem talentów artystów i pisarzy”****. Nic dodać, nic ująć...

Mnogość mecenasów, cóż z tego, że działających w skromnej bądź bardzo skromnej skali, pozwoliłaby uniknąć wielu twórcom kultury przyjmowania postawy klientelki, to znaczy chęci spełnienia oczekiwań (niekiedy za wszelką cenę). A taka postawa dawała i daje o sobie znać w kulturze, jak i w każdej innej dziedzinie ludzkiej działalności.

(Dokończenie na 10)

O nieistniejącym (jeszcze) społeczeństwie mecenasów

(Dokończenie ze strony 9)

Waga / przydatność / ranga, na przykład, wynalazku jest oceniana niezależnie od przesłanek jakie kierowały uczonym/wynalazcą. Jeśli chodzi jednak o dzieła sztuki czy literatury, to sprawa nie jest tak prosta. To znaczy jeśli czas powstania takiego dzieła ginie w mrokach dziejów, wówczas ocena postawy jego twórcy, jak też celu jaki jemu przyświecał podczas tworzenia, staje się sprawą marginalną, wręcz nieważną. Lecz w przypadku tych całkiem współczesnych, wspomniany kontekst nie będzie obojętny dla oceniających wymowę samego dzieła. Rozszerzenie / upowszechnienie zjawiska mecenatu sprawi, że wielu twórców uniknie, mówiąc wprost i dosadnie, świnienia się. Bo jak powiedział Albert Camus odnośnie pisarzy, co można jednak rozszerzyć na ogół twórców kultury: „Pisarz nie może służyć tym, którzy tworzą historię; służy tym, którzy jej doświadczają”.

Pisząc o powyższych sprawach, ze zrozumiałych względów, mam na myśli przede wszystkim Polskę (opisywane zjawiska mają miejsce także w innych krajach). A w niej, mimo funkcjonowania tak wielu organizacji pozarządowych, jak też bogacenia się społeczeństwa (jako takiego), wciąż ma miejsce spoglądanie wprost bądź ukradkiem, na tę czy inną instytucję państwową czy samorządową. Chodzi tu jednak nie tylko o władze najwyższe, ale też niższych szczebli. W tych przypadkach jawnie, bez zażenowania, oczekuje się, aby dało o sobie znać państwo kulturalne, które to określenie przywołałem za sprawą Marca Fumaroli. A owo państwo ma cele nie do końca „kulturalne” (o czym była mowa). Wymaga też spełnienia urzędniczych (konkretnych) oczekiwań.

Będąc społeczeństwem mecenasów mielibyśmy dużo większe możliwości zaspokajania naszych indywidualnych potrzeb. A te są o wiele bardziej zróżnicowane niż przewidują to rozporządzenia wydawane przez ten czy inny urząd.

Przykłady takiego oddolnego mecenatu można mnożyć. Ale dodanie kolejnych, do wymienionych powyżej, pozostawiam Szanownym Czytelnikom. Jeśli oczywiście mieliby na to ochotę. Wspomnę jednak na koniec, że nie było i nie jest moim celem dyskredyto-

wanie mecenatu państwowego. Natomiast, po pierwsze, przemawia przede mną potrzeba zwrócenia uwagi na szkodliwość czyjejś dominacji w skądinąd specyficznej dziedzinie, jaką jest kultura. Po drugie, pragnąłem zaprezentować oddolne, obywatelskie antidotum na takowe zjawisko.

PS.

I

Na zakończenie odczytu, jaki wygłosił w Bangkoku, na kilka godzin przed swą tragiczną śmiercią, Thomas Merton wypowiedział następującą radę: „Kiedy już zapomnicie wszystko inne, co zostało powiedziane, proponuję wam zapamiętać na przyszłość to właśnie przesłanie: »Od tej chwili każdy stoi na własnych nogach«”.

II

W obronie autonomii człowieka, także tworzonych przez niego organizacji społecznych, religijnych, wypowiedział się w 1931 roku (czas rosnących w siłę totalitaryzmów), w encyklice *Quadragesima Anno*, papież Pius XI. Poniższy interesujący cytat dotyczy całokształtu działalności człowieka, tak więc, także tej kulturotwórczej: „Nie wolno jednostkom wydzierać i na społeczeństwo przenosić tego, co mogą wykonać z własnej inicjatywy i własnymi siłami, podobnie niesprawiedliwością, szkodą społeczną i zakłóceniem porządku jest zabierać mniejszym i niższym społecznościom te zadania, które mogą spełnić, i przekazywać je społecznościom większym i wyższym”.

Dariusz Pawlicki

* Tzvetan Todorov, *Ogród niedoskonałości*; Czytelnik, Warszawa 2003.

** Aleksander Sołżenicyn, *Kak nam obustroit' Rossiju?*

*** Andrzej Strumiłło, *Factum est*; Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2008.

**** Marc Fumaroli, *Państwo kulturalne, religia nowoczesności*; Universitas, Kraków 2008.

***** Tamże.



Rys. Barbara Medajska

Chryzanthem i siedem zaduszonych myszy

MGŁA... już od nocy oplątywała Poznań tą swoją bezkształtnością przesłaniając kładkę biegnącą nad torowiskami stacji kolejowej na Dębcu, którą kroczyła teraz PANI EGUCKA. MGŁA... dla chemika roztwór koloidalny – rozmyślała PANI EGUCKA tą swoją chemią omotana, obmyślająca – tak krocząc – te swoje szalone eksperymenty, które z wnętrza materii na światło dzienne wyszarpywały, odkrywałyby choć fragmenty – jak zatarte malowidła starego fresku – TAJEMNICY ISTNIENIA, której jeszcze nikt nie odkrył, a której zawsze PANI EGUCKA poszukiwała.

Teraz nastał czas by zająć umysły uczniów KOLOIDAMI, wszystko nimi było – kurze białko, mleko, olśniewająca cera PANI EGUCKIEJ – jasnej żmudzkiej szlachcianki herbu MOGIŁA a nawet TRZY, taka młoda, bo jej białko tu nie zdążyło jeszcze przejść z ZOLU w ŻEL, no takki układ grubodyspersyjny jak kwaśne mleko teraz... ta MGŁA...

CHEMIA... dwoistość natury osoby urodzonej pod znakiem BLIŹNIĄT – pozorny chaos osobowości naznaczony ezoterycznym profetyzmem nie od dziś doskwierał PANI EGUCKIEJ – chciała przecież studiować HISTORIĘ SZTUKI, nie musiałaby tak uściślać materialnego oglądu świata mówiąc: – MGŁA, układ jednofazowy wieloskładnikowy, woda rozproszona w powietrzu... faza rozproszona i rozpraszająca. Bez takiego nadkommentarza otuliłaby się tą MGŁĄ niby etolą pańską, no i nareszcie ona – PANI EGUCKA – nooo... taki KUSTOSZ, bo nie CHEMIK, Muzeum Narodowego w Krakowie, mawiała do zwiedzających – oglądających CHRYZANTHEM – słynny obraz Olgi Boznańskiej DZIEWCZYŃKA Z CHRYZANTEMAMI: – ... no, bo ta MGŁA, proszę państwa... bo taką paletą swój impresjonizm Boznańska nazaczyła co to rozjaśnioną gamę barwną roztopia w szaromglistej atmosferze i nią, i rysunek, i fakturę nazacza...

– Te dziewczynki z portretów Boznańskiej – rozmarzyła się PANI EGUCKA – ze SŁONECZNIKAMI też – ale ta dziewczynka z CHRYZANTEMAMI – CHRYZANTHEM – jak ją pierwotnie zwano – westchnęła PANI EGUCKA przypomnieniem tego obrazu uszczęśliwiona i nadal się przedzierająca przez tę październikową MGŁĘ, dla kurażu wymachująca siateczką z ulubionym, dopiero co wygarniętym z pieca piekarniczego chlebkiem... ach! te małe piekarniki: jeszcze!

– CHRYZANTHEM – powróciła do swych marzycielskich rozważań PANI EGUCKA – cóż ci wszyscy historycy sztuki, bo nie chemicy, o tej dziewczynce wypisywali i jak nie do końca przekonujące były ich racje: te szarości złotawym odcieniem jej włosów okraszone, te oczy, o których pisywali, że jak krople atramentu dwie? ten portret

DUSZY? Chyba DUCHA: ejże, DUSZA z wielu warstw złożona – egipcyscy kapłani coś o tym wiedzieli – więc: nie DUSZY a DUCHA... Mickiewicz... BEZ SERC DUCHA – wpisywała w swą pamięć własny komentarz do tego obrazu PANI EGUCKA. – Ta zastygłość postaci – ciągnęła dalej swą myśl – w bezruchu i inne TAKIE... tylko OKREŚLENIA – analiza – brak ISTOTY, gdy to jedynie syntetyczne spojrzenie na ten obraz tę ISTOTĘ nam oto ukazuje i coś innego PODPOWIADA, bo w artystki życie się wkradłszy poprzez jej TRZECIE OKO – DOPOWIADA? WYPOWIADA tym ukazywaniem ISTOTY CHRYZANTHEM jej życia KRES.

Bo malując, u progu swej świetnie się rozwijającej artystycznej kariery CHRYZANTHEM, Boznańska namalowała SWOJĄ ŚMIERĆ, która do niej, pod postacią siedmiu MYSZY przyszła – grasując po jej śmiertelnym łożu, jej DUSZY zapragnęła? że aż z nimi walkę samotną OSTATECZNĄ malarka stoczyć musiała – pojedynek – mocowanie się o ŻYCIE WIECZNE... tych MYSZY zaduszenie... tak resztkami sił... ZWYCIĘŻANIE! Bo po jej śmierci na tym jej łożu znaleziono siedem zaduszonych MYSZY. Dlaczego? – wykrztusiła PANI EGUCKA, naraz powiewem silnym wiatru przyduszona... nie, nie ZADUSZONA.

Bo CHRYZANTHEM – no proszę się tak nad nią nie rozczulać – roztkliwiać panie i panowie muzealnicy – to MYSZ: ta szarość, te punkciki żwawych mysich oczu, to szare tło mysiej nory, z której ta MYSZ wypełzała – niby to z lękiem i niepewnością w tych swoich ślepkach, ale po to, by dokonać zniszczeń w naszych DOBRACH – ŻYCIU – DUSZY: tego wszystkiego OSTATECZNIE nas pozabawić... METAFIZYCZNA LEWA STRONA... jak to APOLLINAIRE – Kostrowicki – też polska krew pisał: DNI, czasu MYSZY ŻWAWIE, powoli żywot mój niszczyć... tak, to było TO; zaglądając w oczy własnej śmierci – malując mysie oczy CHRYZANTHEM, Boznańska tę śmierć zlekceważyła, zadusiła ŻWAWIE MYSZY, które chciały zniszczyć?

Nie zniszczyły jej żywota wiecznego – żywota nędzarki z wyboru, bo przecież wielką filantropką była, gdy tak młodym artystom możliwość kontynuowania nauki zapewniała, a choć tam w tym okupowanym Paryżu – w tragicznym roku jej śmierci rodacy z pomocą materialną śpieszyli, od nikogo grosza nie przyjęła – ubolewała w duchu PANI EGUCKA...

– Ależ się ODCHEMIŁAM – stwierdziła PANI EGUCKA zadowolona, gdy naraz – wiedzona nakazem swego TRZECIEGO OKA się obejrzała: z tej SZAROMGLISTEJ miękkości w którą zairzała, się wyłaniała... CHRYZANTHEM!!!

No, nie tylko się wyłaniała – szła za PANIĄ EGUCKĄ krok w krok – dziecko podążało za PANIĄ EGUCKĄ aż do jej chemicznej szkoły: mina pańska, rajstopy przyszarza-

ły, zwisające jak obwarzanki na patyku – nóżki były patykowate – kapelusik jak z portretu Boznańskiej, płaszcz... takiego płaszczka nie nosiło już żadne współczesne dziecko. PANI EGUCKA po schodach – dziewczynka po schodach: PANI EGUCKA do pokoju przygotowawczego w laboratorium – dziecko też zatrzymało się na progę i spoglądając na PANIĄ EGUCKĄ rzuciło niedbale:

– Zapomniałam śniadać. Myślę, że zrobię pani przyjemność, jak zjem ten chlebek razem z panią – wskazała na siateczkę. PANI EGUCKA natychmiast doceniła klasę tej wypowiedzi i odparła: – Nic bardziej przykrego niż jadać śniadanie w pojedynkę – śniadać gawędząc, ależ! każdy BLIŹNIAK to uwielbia.

– Ma pani szczęście – też jestem spod znaku BLIŹNIAK – też lubię śniadać gawędząc. Zostanę poetką, może prozaiczną... pisuję już co nieco, choć moja babcia mawia, że powierzchowność mojej bliźniaczej natury mnie zgubi – rzekła wyniosłym głosem osoby przebywającej WYŁĄCZNIE w kręgach intelektualnych. – Bo moja babcia jest spod znaku KOZIOROŻCA, zrobiła karierę naukową – jest kustoszem muzeum i wie o malarzach nieomal wszystko – zwłaszcza o Oldze Boznańskiej.

Czy pani – jako chemik – coś o niej wie? – zapytała surowym głosem profesora rektora, u którego swego czasu PANI EGUCKIEJ przyszło zdawać egzamin z chemii organicznej. – Nie tyle zapewne, ile wie twoja babka – PANI EGUCKA postanowiła śpiesznie nadrobić zaległości z wiedzy o historii sztuki, nie bez racji przypuszczając, że gawędy przy śniadaniu będą się ponawiały.

PANI EGUCKA się jednak pomyliła: dziewczynka pałaszując kolejną kromkę chleba, wyznała za ulgą:

– Wie pani, to nawet dobrze, że nie żyje pani wyłącznie tą Olgą Boznańską, że lubi pani śniadać: u nas się mało jada, nooo... bo ONI mają DOM. Żyją DOMEM! DOM proszę pani ZJADA WSZYSTKO! Babcia – stale pisze... zamyka się w saloniku... musi zarobić na DOM. Dziadek jest WIELKIM MATEMATYKIEM... stale liczy w swoim gabinecie – zarabia na DOM. Moja mama jest dziennikarką... stale jej nie ma w domu, biega... na DOM zarobić MUSI. Tatusia DOM pokonał – wpadł w MELANCHOLIĘ... zniknął! Dzieci w szkole się ze mnie śmieją, że jest w Wariatkowie; żebym chociaż wiedziała, gdzie jest ta MELANCHOLIA, to może bym go znalazła. Może pani wie? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Myślę, że wiem – no, się domyślałam – wolno mówiła PANI EGUCKA – jest na pewno w POEZJI! a POEZJA to nie Wariatkowie! Zaręczam.

– W takim razie zostanę poetką, wtedy trafię do tej pięknej MELANCHOLII. DOM też jest piękny, jak na obrazach impresjonistów – według babci wyróżnia się KLIMATEM. Ma stare zgniłozielone okiennice w

oknach. Czy nie uważa pani, że krajobraz polski bardzo cierpi na tym, że DOMY, tak jak na przykład we Francji, nie mają okiennic, że mają tylko takie żaluzje – całuny – w których nie ma nawet wyciętego serduszka na promyk nadziei, który każdego ranka winien wtargnąć do naszego DOMU? Nasz DOM ma okiennice, no... ale one muszą być stale RESTAUROWANE... okna muszą ŻYĆ! Muszą błyszczeć w nich szyby, bo to nie są zwykłe szyby... są jak w starych pałacach – kryształowe, ręcznie lane... z takimi drobinami powietrza zatrzymanymi na zawsze w czasie ich produkcji – wykladała uczynym głosem.

– OKLUZJA – rzuciła PAN EGUCKA zafascynowana opisem tego DOMU – mam takie szyby w mojej serwantce z epoki. Długo szukałam brakującej.

– Właśnie. Restaurowanie takiego DOMU to szalenie kosztowna sprawa, jak pani widzi: DOM ZJADA WSZYSTKO! Podejrzewam, że jutro też zapomnę o śniadaniu... wie pani, takie artystyczne roztargnienie poetki – dodała, kręcąc się niepewnie na krześle, na podłożonych z dwóch stron pod chude udka dłoniach.

– W takim razie bardzo zapraszam – usmiechnęła się pod nosem PANI EGUCKA – moja serwantka już odrestaurowana, niczego nie zjada.

– Ten stolik i dwa foteliki, którymi tu pani dysponuje, bardzo wygodne – skwitowała, jakby zaproszenie było oczywistością. – Zrozumiałe, że nie są to meble Z EPOKI, ale jak MODERN jest pić herbatę parzoną w chemicznych zlewkach! Przyjmuję zaproszenie – dodała łaskawie.

– To proszę jeszcze zabrać tę kromkę na drugie śniadanie – PANI EGUCKA szybko posmarowała chleb serkiem ALMETTE i zapakowała w arkusz bibuły filtracyjnej. Dziewczynka wstała, dygnęła i radośnie podskakując, zupełnie nie tak ja się należało spodziewać po tak poważniej rozmówczyni, ale jak DZIECKO, którym przecież była – szybko zbiegła ze schodów, podciągając w tym biegu zwisające jak obwarzanki rajstopy, które naraz jakby pojaśniały na owych patyczkowatych nóżkach.

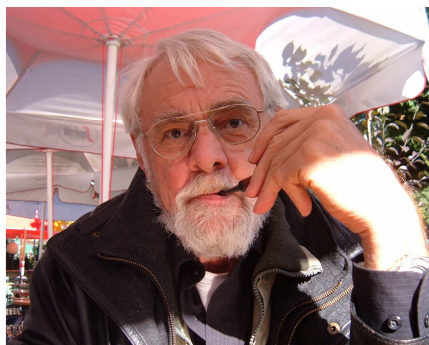
– DNI, CZASU MYSZY ŻWAWIE – pomyślała PANI EGUCKA – choć z tej mojej porannej jesiennej MGŁY się wyłaniacie, ŻYWOTA MEGO NIE ZNISZCZYCIE...

... BO CHRYZANTHEM...

**Elżbieta
Stankiewicz-Daleszyńska**



Zamyślenia



Maska pośmiertna Jerzego Giedroycia (2)

Pożegnanie z Jerzym Giedroyciem

Tam, w Instytucie Literackim w Maisons-Laffitte zawsze biło serce Polski, rytmicznie tętniące życiem i pracą. Dziś nie jest to jakieś zatęchłe muzeum, chociaż zakusy tępych przedstawicieli służb dyplomatycznych PRL-owskich władz usilnie dążyli do tego. Z ich strony współpraca opiekuńcza była nijaka, nade wszystko wrogo usposobiona. W tym skromnym budyńcu znalazło miejsce, w którym podziwiać można było Polskę i Polaków. Był to obok Polskich Misji Katolickich rozsianych we Francji prawdziwy polski dom, dom prawdziwych Polaków. Agnieszka Osiecka pisała w wierszu, który odnaleziono w prywatnych zbiorach Giedroycia: *Przywilejem polityka jest widzieć swój skrawek świata lub kraju zrealizowany w miarę sprawiedliwy, w miarę syty, w miarę piękny, w miarę taki, jakiego pragnął. Nie zaznał Pan tego!* Miała rację, że *hańbą polityka jest umieć osiągnąć jedynie kompromis, pół szczęścia, pół prawdy, pół celu, pół pokoju, czego przez całe swoje życie Giedroyc doświadczył na sobie.* Dla polityków stał się wrogiem. W homilii na pogrzebie Jerzego Giedroycia ks. Henryk Hoser SAC powiedział: *Prasa, radio telewizja obfitując w lawinę pojawiających się wypowiedzi oceniających człowieka i Jego dzieło, Jego życie i znaczenie, nie mówiły pełnej prawdy. Wszyscy czujemy jaką osobowością był Redaktor. Wszystkie wypowiedzi wymykają się najbardziej nawet przenikliwym, subtelnym czy błyskotliwym wypowiedziom. I dalej: był tak bardzo obecny w naszym życiu, gdyż zaznaczył najwyraźniej i najdobitniej kończący się XX wiek. Nazwał Giedroycia postacią monumentalną w historycznym świetle, ostrym świetle Ewangelii. Miał rację dzisiejszy hierarcha Kościoła w Polsce, prześwietlając Jego postać światłem Bożych kryteriów i ocen. I my dziś po latach oceniamy tak samo. Był postacią wielką, ale nigdy nie stawiającą się na piedestale, postacią unikającą pochlebstw i odcinającą się od turyferany. Mio-*

tał się w tych twardych czasach i jak sam mówił: *z tego mojego miotania nic nie wychodzi.* Jaka wielka skromność! Uważał, że pełnił tylko swoją powinność. Rzeczywiście, miał w sobie wiele talentów wzajemnie się wiążących w wielkim suple kultury jako takiej. To talent nade wszystko literacki, intuicyjny, organizacyjny z bystrą inteligencją i poczuciem smaku oraz estetyki. Umiał słuchać z wielką godnością i z właściwym mu poczuciem humoru.

Wszystkie te talenty pomnażał z iście benedyktyńską pracą, a wiemy, że właśnie praca przysparza talentów. Dorobek Instytutu to niewyczerpany *corpus* Giedroyciowego życia. Tę gigantyczną pracę nie mierzymy długością książek na półkach, ale właśnie milionami czytelników, jak stwierdził ks. Hoser. A przecież w tamtych coraz bardziej oddalających się czasach, sami szukaliśmy światła orientacji, świecących drogowskazów, niemające już nadziei na niepodległą Polskę. To On wyidealizował nam taką właśnie Ojczyznę, o której sam śnił. W swoim domowym archiwum w Niemczech mam skreślony ręką Giedroycia osobistą korespondencję. Wszystkim czytelnikom zawsze odpisywał, czasami po pół roku. Piękną w swym artystycznym wyrazie pośmiertną maskę Giedroycia wykonał mieszkający w Paryżu od wielu lat Paweł Jocz. Jego rzeźby możemy podziwiać w paryskiej stacji Polskiej Akademii Nauk, w Bibliotece Polskiej, a także na ulicach Paryża. Przyjdzie nam jeszcze o tym napisać...

Kazimierz Ivosse



Sylwester Gołąb

Papież

kiedyś nie dostrzegałeś żadnej niestosowności w noszeniu ubrań przypominających krojem strój tyrolski

kiedyś chciałeś wyruszyć z Tonym po piersi namiętnych Argentynek

to ty przecież miałeś strzelać do papieża

w naszej małej pięknej miejscowości nie byłeś wyjątkiem pomimo licznych kapliczek powołań do stanu kapłańskiego bądź służby w MO

pomimo szalejących Jawek sputników śledzących starego Kuziaka pędzącego bimber częstych procesji i błogosławień młodych księży spacerujących w rumieniących się zagajnikach żujących żdźbła młodych traw tak intensywnie że jodły uginały się pod ciężarem apokryfów a kamienie wychodziły z rzek na pełne słońce wówczas

stare kobiety przyglądały się z uwagą z troskliwością stawiającym pierwsze kroki ledwie wyrosłym nad krzew

młodym alchemikom wywijającym się sugestiom picia słabszych alkoholi

grabiącym z pól sterty płatów pulsującego firmamentu spadającego strukturą maślanych strupów

pamiętam cię z niemieckiej awangardy teraz między West End a Heathrow

Heathrow a każdym innym miejscem wozisz Angoli by ostatecznie wrócić do Sofii do jej śniadej cery

a papież żył osiemdziesiąt pięć lat

Rosenkrantzgate

najchętniej zrezygnowałbym z języka z pierwszych promieni przeciętych smugą białą lotniczego paliwa z polifonii wzywu otwartych twarzy nie do końca wybudzonych dzieci

ocalając lecące w kierunku Rosenkrantzgate białe lampiony walczącej z nalogiem małej Cho

ćmiący Han pazur tygrysa rzadziej wstaje z wiklinowych krzeseł chyba że trzeba kogoś dźgnąć obsłużyć bądź zanieść kraby na zaplecze Kuzniecowa dobił

jak dobija się do świtu promem motorówką kutrem śmierdzących dorszy carowie caryce towarzysze towarzyszki małe waciane nisser schodzą naprędce

ruszyło przyciągnięte siłą o świcie

KOZETKA (9)



Królowe życia

Nikt nie rodzi się kobietą, ale raczej się nią staje. Żadne biologiczne, psychologiczne, czy ekonomiczne przeznaczenie nie determinuje „człowieka żeńskiego”; to raczej cywilizacja jako całość decyduje, kim jest taka osoba.

Simone de Beauvoir

JOANNA FRIEDRICH

...coraz częściej podnoszę się z mojej kozetki, aby pobrać, lub dać lekcję kobiecości.

Nikt nie rodzi się kobietą? Już w „Alicji z Krainy Czarów” można znaleźć zapis kobiecego programowania (to modne ostatnio słowo):

– Nie wierzę Ci – mówi Alicja

– Nie wierzysz? – powtarza ze smutkiem Królowa. – Spróbuj jeszcze raz, weź głęboki oddech, zamknij oczy i uwierz.

Alicja śmieje się:

– Nie warto próbować. Tylko głupcy wierzą, że rzeczy niemożliwe mogą zdarzyć się naprawdę.

– Myślę, że po prostu brakuje ci doświadczenia – odpowiada Królowa. – Gdy byłam w Twoim wieku, ćwiczyłam przynajmniej pół godziny dziennie.

Zaraz po porannej kawie próbowałam wyobrazić sobie pięć lub sześć niemożliwych rzeczy, z którymi mogłabym się zetknąć. Dziś widzę, że większość tego, co sobie wyobrażałam, stało się rzeczywistością.

Dzięki temu zostałam królową.”

Spacerować w fajnych butach, dokładnie tego chce każda kobieta, w każdym wieku.

Najlepiej, kiedy są to czerwone szpilki.

Odwiedziłam ostatnio Martę i jej córkę, Zosia, renesansowy anioł, zapamiętała mnie jako „Ciocię w czerwonych butach”. (Po moim wyjściu wszystkie świeżo narysowane książniczki nosiły czerwone pantofelki.) Ponieważ przez cały mój pobyt w ich domu udawała kotka, powiedziałam, że może mnie nazywać swoim Kotem w Butach.

Coś w tym jest, że dziewczynki uwielbiają paradować w maminy butach i palić wyimaginowane papieroski – słone paluszki.

Do dziś pamiętam niebotyczne obcasy mojej mamy, w których usiłowałam chodzić, malowałam też usta i powieki (pierwsze na koralowo, drugie na niebiesko), jeżdżąc na łyżwach. To był ten wiek. Wczesnych dziurek w uszach i ubolewania nad faktem, że w przedszkolu nie można malować paznokci na czerwono.

Dlatego cieszę się, że Zosia (ze świeżymi dziurkami w uszach) może nosić do swojego przedszkola balowe sukienki i nikt jej tego nie utrudnia.

Jakie bale, tacy kawalerzy, ta zasada sprawdza się w każdym wieku.

Po cichu liczę na to, że Zosia zostanie moją synową, ma bardzo głębokie i mądre spojrzenie, zupełnie jakby wiedziała wszystko, pomimo, że jest na początku drogi.

Warto sobie czasem przypomnieć o czym się kiedyś marzyło, żeby płynniej wejść w przyszłość.



Marzymy o szpilkach, balach, rycerzach, dżentelmenach w każdym calu, ze złotymi „rączkami”, obdarzonych klejnotami; o wielkich domach, po których można by się gonić i gdzie łaźienka byłaby wielkości sali balowej właśnie.

O karierach i katedrach i szczepionce na raka, która już jest.

Potem stwierdzamy, że szpilki są niewygodne, facci głupszy od nas, bo za mało domyślni, domy za duże do sprzątnięcia, a łaźienka pełna prania i w następnym domu będzie osobna pralnia, osobna suszarnia i bawialna, bo dzieci, które miały być słodkie, dostały od najbliższej rodziny zestaw bardzo głośnych zabawek (tu wszystkim kupującym zabawki dla dzieci polecam jak najcichsze i jak najbar-

dziej zajmujące małych właścicieli, ich rodzice będą Wam niewypowiedzianie wdzięczni za domyślność).

Teraz marzymy o zegarach chodzących do tyłu, wagach wskazujących 55 kg i kartach z nieograniczonym debetem.

Chcemy – nie chcemy, pragniemy, potrzebujemy, odmyślamy się i namyślamy.

My damy albo nie damy.

Pragnące jednocześnie chodzić w pidżamie i w butach na szpilkach i na boso (bo wygodnie), być monogamiczną niemonogamiczką. Mieć włosy długie i krótkie, kręcone i proste. Mieć piersi wielkie i jędrne.

Mieć nogi na stole i siedzieć na kolanach u swojego bruneta/blondyna. W kapeluszu bez animuszu, ze słomką i bez. Przez chwilę spróbować być les.

Potem przechodzimy na buddyzm albo wracamy do religii z dzieciństwa, oszołomione faktem podobieństw pomiędzy religiami, i jeszcze bardziej faktem, że nic po nas bez nas.

Idziemy na zakupy, jedziemy w podróż, zakochujemy się. Myślimy mieć – czy być, i czy za pieniądze można kupić byt. Rajską wyspa. Pływamy, nurkujemy.

Jesteśmy na fali, jesteśmy na dnie, odbijamy się i wynurzamy. Pochwycić nieuchwytnie, zrobić zamek z piasku, który przetrwa tyle, ile egipski Sfinks.

Tak sobie marzymy – my feniksy, my – kobiety.

Królowe życia.



Janusz Orlikowski

* * *

chciałem zapiąć myśl
na ostatni guzik
urwał się

i powstał wiersz

* * *

na chodniku czasem
grosik
jak grzyb w czasie suszy

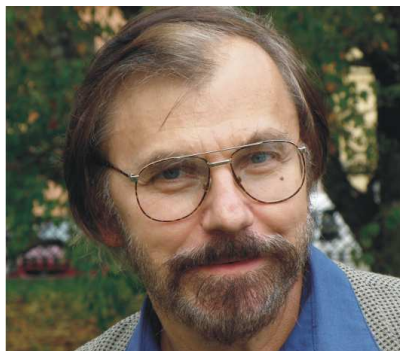
przyjemne zdarzenie w drodze

* * *

duchowe materialne niespodzianki
są z tej samej przyczyny:

Boga

Listy do Pani A. (93)



Bagno tymczasowe

Droga Pani!

Czas leci bardzo szybko. Nie jest to spostrzeżenie szczególnie odkrywcze, ale jeśli uświadomimy sobie pewne fakty to się okaże, iż jesteśmy znowu zaskoczeni.

Marka Wawrzkiwiczka znam przecież od bardzo dawna, osobiście poznałem go, gdy był naczelnym „Nowego Wyrazu”. Wcześniej czytałem jego wiersze, które zawsze robiły na mnie duże wrażenie. Pamiętam, że będąc jeszcze w liceum szukałem jego utworów w „Życiu literackim”, „Kulturze”, wypożyczałem jego książki ze szkolnej biblioteki. A tu niedawno święciliśmy uroczyste jego siedemdziesiąte dziewiąte urodziny. Nie do wiary!

Odbyło się to w Klubie Księgarza u zawsze nam życzliwego Janka Rodzenia. Cieszyłem się, że nie w auli Domu Literatury, bo wielu z kolegów – choćby nawet spełnili z uśmiechem skromny toast – to potem by za oczami gadali, że się w Związku urządziła libacje. Tacy są ludzie. Nazywam ich „dowódcami”, bo przychodzą tylko do wódki, potem na długo znikają i obsmarowują wszystkich po kątach. Niestety, mamy w Związku zbyt dużo „ludzi”, zbyt mało pisarzy.

Cała uroczystość była świetnie zorganizowana przez Oddział Warszawski pod przewodnictwem Aldony Borowicz. Bardzo zabawny tekst pod adresem Marka, utrzymany w poetyce raportu służb specjalnych, wygłosił Ryszard Ulicki. Pokładaliśmy się ze śmiechu. Rozglądałem się, czy też zobaczę Panią, i wydawało mi się w pewnej chwili, że nasze oczy się spotkały, choć nie jestem w stu procentach pewny.

Krzysztof Gosztyła czytał potem kilka wierszy Marka. Jak zwykle z wielkim wycuciem i dowcipnie, zwłaszcza że i utwory były w gruncie rzeczy zabawne. Potem długo jeszcze trwało spotkanie towarzyskie w przemiłej atmosferze, przypominającej czas naszej młodości. Może powinienem dodać „wczesnej”, bo przecież wciąż czujemy się tacy sami... W każdym razie powstała życzliwa artystyczna atmosfera, która przynajmniej na jakiś czas przesłoniła nam bagno zaokienne, pozwoliła zapomnieć o kretyńskich pomysłach rozmaitych karłów i psychopatów.

A więc było „jak dawniej”, kiedy kultura coś znaczyła, a zawód „literat” miał pewien prestiż społeczny. Nie przesadzajmy, że było tak słodko, ale przynajmniej było. Teraz czasy się zmieniły,

każdemu wszystko wolno, przynajmniej takiemu złudzeniu dużo osób ulega. A ci, którzy walczyli o wolność słowa, gromko przeciwstawiali się cenzurze, sami stali się cenzorami na miarę zaborców. Mamy tego przykłady, choćby we Wrocławiu czy w Krakowie, gdzie banda szaleńców poczuła się dotknięta występami artystów kpiących sobie dowcipnie i zjadliwie ze świętych krów... Inni węższą rozmaite „profanacje”, „prowokacje”, co jest skutkiem kompletnego wyłączenia rozumu. Nie znoszą fanatyzmu, Pani – o ile wiem – również. Nie mówię już o cenzurze politycznej. Ta również szaleje jak dzika. Jakże w tej sytuacji aktualne jest wyrażenie Boy’a Żeleńskiego „nasi okupanci”. Tyle, że teraz okupantów jest znacznie więcej. Pojawiają się z różnych stron, i nikomu nie wolno zaoponować... (Po tym zdaniu włączyła się moja osobista autocenzura).

Miał odbyć się w ZLP wieczór poezji z okazji Dnia Kobiet. Aldona Borowicz wraz z prezes SPP Karoliną Piekarską zorganizowały wieczór, podczas którego miały być czytane wiersze różnych poetek nieżyjących (by żyjące przedwcześnie nie pomarły z zazdrości), często klasycznych. Niestety, zapowiedzianą już imprezę odwołano. Dlaczego? Bo pewien decydet, orzeł z połamanymi skrzydłami, zabronił uważając, że z tymi komuchami i sprzedawczykami z ZLP niepokalanemu SPP nie po drodze. A niektórzy rozsądni pisarze „stamtąd” już cieszyli się, że może nawiąże się dialog i współpraca, tak cenne dla całego środowiska. Swoją drogą ciekawe, czym różnią się „sprzedawczyki” z ZLP od „stalowników” z SPP, jak spytał kiedyś pewien kłasiusz wstępujący do naszego Związku. Ale przynajmniej jest wesoło.

A jak się Pani na to wszystko zapatruje? Mnie już się nie chce nawet wychodzić na ulicę. Nie mam na myśli demonstracji, tylko zetknięcie się z płynącym... Tego słowa nie powiem dobitnie, by nie skalać Pani uszu. Jeśli wychodzę, to pod przykryciem. Czuję wielkie obrzydzenie i niechęć do wszystkiego, co się teraz wokół dzieje, drażni mnie powszechna głupota, fanatyzm, obłuda, kłamliwe slogany, udawanie. A ilu mamy „obrażonych”, ilu obrońców czegoś tam i kogoś tam, aż dochodzi do sytuacji absurdalnych. Mechanizm jest taki: jeśli dwie baby pobiją się nad morzem, to górale będą obrażeni w swoich najgłębszych uczuciach. Istny kabaret w złym, nieśmiesznym stylu; taka scenka „Pod eg(n)idą”, która może rozmieszać tylko gorliwością w całowaniu w czteroliterowe miejsca swoich mocodawców i łaskotać ogłupioną publiczkę, której wciska tandetne ideologie i kłamstwa. Tymczasem we wszystkim najważniejsza jest rzetelna fachowość i uniwersalna etyka, a nie przynależności złodziejsko-partyjno-wyznaniowe. Ale tutaj niestety mamy żaźne dysproporcje.

Najchętniej zamknąłbym się w domu z lekturami, co zresztą w miarę możliwości robię. Obcuję wtedy z innymi epokami. Z przyrodą. Na chwilę zapominam np. o zbrodni dokonywanej na Puszczy Białowieskiej, i to za aprobatą tych, którzy powinni o nią dbać. Ale cóż, kasiora ponad wszystko. Mam wrażenie, że zbyt długo trwają rządy prawdziwych „rodaków”. Niechby wreszcie przyszedł jakiś tyran! A gdyby nie wiedział co ma robić i od czego zacząć, niech zadzwoni do mnie.

Może jednak nie ma się czym przejmować. Szambo jest małe, choć dotkliwie śmierdzi. Istnieją duże obszary optymizmu, autentycznych działań, zjawisk pozytywnych. Takie działania pozwalają

zrównoważyć to co złe i głupie, zachęcić do aktywności. Oto ukazała się książka Jakuba Jabłonki i Pawła Łęczuka „DJ Wika. Jest moc”. Tę książkę powinni przeczytać wszyscy. To wywiad rzeka z tą niezwykłą kobietą, Wiką Szmyt, która – po wielu życiowych zawirowaniach i zawodowej działalności – została najstarszą w Polsce didżejką. Na okładce książki wypunktowano: łączy pokolenia, łamie stereotypy, inspirowała, zachwyca, organizuje parady seniorów. Ta starsza pani, o niespożytej energii i aktywności rzeczywiście ma fenomenalne podejście do ludzi, nikogo nie „sortuje”, a wszelkie oceny są jej obce.

Miałem przyjemność ją poznać, w „Ikarze” przy Grójeckiej, filii Domu Kultury we Włochach, dokąd około 2004 roku zaproszono mnie, abym prowadził tam warsztaty literackie. Piękna, jasnowłosa pani, o klasycznych rysach twarzy, uczesana w stylowy kok, musiała od początku zainteresować, taka oryginalna, wyróżniająca się spośród innych... Była wtedy gospodynią tych spotkań, sama również prezentowała swoje wiersze – subtelne liryki. Czytała je dźwięcznym, metalicznym głosem. Trudno się było nie zachwycić tą subtelną, pełną kultury kobietą, pełną optymizmu i energii.

Zaprosiła mnie kiedyś do „Bolka”, klubu na Polu Mokotowskim. I tam omal nie padłem na zawal z wrażenia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak prowadzi dyskotekę. Niejeden młodzieńszek dawno by „wymyknął”, a niezmordowana Wika zagrzewała do tańca, dowcipnie nawiązywała kontakt z publicznością, zmieniała płyty, i nie miała z tym, jak również z techniką nagłaśniania, najmniejszych problemów. Wiecznie młoda, bez trudu nawiązuje kontakty z ludźmi różnych pokoleń, często młodszymi od siebie. Jest dobrą duszą seniorów, inicjatorką i aktywną uczestniczką parad, koncertów, dyskotek.

Przyznam się Pani, że bardzo Wikę podziwiam, bo mnie – zwłaszcza w tej rzeczywistości – nie chciałoby się już ruszyć palcem. Ale przykład Wiki dobrze działa, a dzięki książce Jabłonki i Łęczuka poznałem ją jeszcze lepiej. I kiedy ogarnia mnie takie zniechęcenie, o jakim napisałem powyżej, pytam niekiedy siebie, co w danej sytuacji zrobiłaby Wika. Wtedy zaczynam się aktywizować. Ona uczy, że niechęć, gniew, nienawiść, lenistwo, niewiara w to, że cokolwiek można zrobić, obracają się przeciwko nam. I to jest prawda.

Dlatego – ile razy przypomnę sobie rozmowy z Wiką – nabieram jednak pewnego optymizmu. I wiary, że to obecne bagno jest tymczasowe, osuszy się rychło, i na jego miejscu powstanie wreszcie coś sensownego. Trzymajmy się, i dotrwajmy! Tego Pani i sobie z całego serca – jeśli jeszcze je mam – życzę!

PS. W poprzednim odcinku powtórzył się tytuł Listu 91., lutowego. Mea culpa! Po prostu zapomniałem wstawić nowy tytuł. Przepraszam Panią i Czytelników.

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Co z tym buntem?

Znowu w kraju dyskusja i znowu na temat młodego pokolenia Polaków. Tym razem na temat ich buntu... Buntu przeciwko komu, przeciwko czemu...? Są i tacy, którzy widzą w tym buncie zagrożenie demokracji, gdyż młodzi są apatyczni, bierni i bez żadnych perspektyw życiowych... Jedni przesadnie lękają się, drudzy nie widzą w tej kwestii żadnego zagrożenia, jeszcze inni w ogóle nic nie widzą, bo są w stanie dostrzec tylko czubek własnego nosa, a to stanowczo za mało...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Profesor Maria Szyszkowska w swojej pięknej i mądrej książce pt. *Twórcze niepokoje codzienności* (Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, Warszawa 1999) pisze: *Człowiek niezbytowany często z trudem dostosowuje się do wzorców i mentalności otoczenia, przypłaca swój wysiłek i fałsz wewnętrzny nerwicami i psychonerwicami. Z trudem daje sobie radę. Bywa niezadowolony z siebie. Szuka ucieczki w alkohol, w narkotyki. Jest słaby, zbyt słaby, by stawić czoła światu, i w rezultacie słabość prowadzi go do samozniszczenia.*

Buntem jest niezgoda na obserwowany tak często fałsz w stosunkach międzyludzkich, na obłudę i kłamstwo, na obojętność wobec ludzkiego cierpienia, na podstęp i podłość w dążeniu do pieniędzy i kariery, na kliki zamykające drogę ludziom utalentowanym.

Na temat młodych zabierała także głos profesor Hanna Świda-Ziemia. Kilka lat temu w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, z ogromnym zdziwieniem odkryła, że w społeczeństwie polskim trening politycznej poprawności okazał się niezbyt skuteczny, a podstawy

tolerancji są wciąż zbyt płytko zakorzenione.

Nie mogę zgodzić się z tymi tezami, bo nie o lęki tutaj chodzi, tylko o wyniki badań dotyczące młodzieży, która według Pani Profesor jest „zaściankowa” i „wstecznie tendencyjna”. Jakże to? A kto od 1990 roku próbuje „wyciąć w pień” to wszystko, co najlepsze w polskiej oświacie... tradycję. Czy wszystko, co było wcześniej, było aż takie złe? Komu przeszkadzało, że młody Polak, po skończeniu szkoły średniej, wiedział więcej, niż jego rówieśnik z Europy Zachodniej? Kto z takim impetem próbuje ściągnąć najgorsze amerykańskie i zachodnie wzorce dla naszej młodzieży. To, co jest dobre tam, nie znaczy, że będzie równie dobre w Polsce.

Zresztą cóż znaczy marne dwieście lat wątpliwej tożsamości narodowej Amerykanów (*nota bene* nic do nich nie mam), wobec ponad tysiącletniej tradycji kultury narodowej Polaków... Chyba trochę się o tym zapomina, nieprawdaż? A poza tym, to przecież po 1989 roku próbowano zmienić tożsamość narodu, na zasadzie: *kiedyś było zło, więc należy je wypłenić i zastąpić dobrem*. Niestety, nie powiedziano tylko, gdzie to dobro jest, a dobro zaproponowane – demokracja – ma to do siebie, że podobnie jak w poprzednim systemie – nie musi być po równo dla wszystkich. I tu zaczyna się cały problem, gdyż Polak nie lubi, jak jego sąsiad ma więcej od niego. I w takiej właśnie atmosferze wychowuje się młode pokolenie Polaków.

Podobnie jest z tolerancją. Wspomniana Pani Profesor bezradnie rozkładała ręce przed tragicznymi faktami. Okazało się, że w jej badaniach 67% osób z wyższym wykształceniem zgodziło się ze zdaniem: *można tolerować wiele rzeczy, ale jeśli ktoś posiada poglądy głęboko nieludzkie, trzeba w miarę możliwości nie dopuszczać, by je ktoś rozpowszechniał*. We wspomnianym wywiadzie Pani Profesor stwierdziła, że *sądziła, iż przynajmniej ludzie wykształceni i inteligentni powinni zrozumieć, co naprawdę wynika z akceptacji takiej postawy*.

Przeraził mnie ten komentarz, bo tego typu postawy prowadzą do autorytaryzmu i państwa wyznaniowego – a takie już mieliśmy, od 1944 roku. Chociaż od tego wywiadu minęło ponad 10 lat, wszystko dalej jest jakby aktualne.

Nie ma się więc co dziwić, że coraz częściej pojawiają się na naszej politycznej mapie ludzie, którzy głoszą, że w Jedwabnem nie było żadnej zbrodni, że w Oświęcimiu nie było komór gazowych lub – po przeciwnej stronie barykady – że Armia Krajowa, to „zapłuty karzeł reakcji”.

W życiu jest tak, jak w ludowym porzekadle: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość traci. A że młodzi się buntują? Zawsze to robili, od najdawniejszych czasów, i z różnym natężeniem emocjonalnym, partym odpowiednio ukształtowanym systemem psychicznym, wygodnym akurat dla tych, którzy mają w tym interesy. A interesy

mają zawsze ci, którzy są przy władzy. Nie należy więc zapominać o słynnych sentencjach: *czyja władza, tego religia* lub Szekspirowską: *kiedy dwóch siedzi na koniu jeden musi być z tyłu*. W naszym trwaniu w Europie (!) obecnie wielu ludzi zajmuje pozycję dalszą niż od głowy konia. Dlatego *bunt zawsze jest wynikiem naszej codzienności*, w której przychodzi nam obcować. Szczególnie dotyczy to ludzi młodych, gdzie każde kłamstwo i fałsz, każdy przymus, budzi bunt, który jest integralną częścią każdego społeczeństwa. Problem w tym, czy potrafimy wykształcić „mądrych buntowników”, czy po prostu zwykłych bandytów.

Mamy tyle palących problemów, że powinniśmy sobie oszczędzić wyciągania śmiesznych tez dotyczących młodego pokolenia. Jak będzie praca dla rodziców, to zajmą się wychowywaniem swoich dzieci. Jak będzie praca dla młodzieży, to skończy się bezsensowne „włóczęgostwo” i nieustanny brak wiary w przyszłość. Ale wszystko to jest efektem wykorzystywania naszej codzienności, a szczególnie poszerzania naszej świadomości. Pisze o tym pięknie w swojej książce cytowana już profesor Maria Szyszkowska: *Codziennosc jest wielowymiarowa. Dostrzega się to nieczęsto. Bywa, że żyjemy tylko na jednej z jej możliwych płaszczyzn. Inne, wzbo-gacające, tkwią w nas samych trzeba sobie uświadomić możliwości, które w sobie nosimy*.

Tylko kto ma w nas obudzić te możliwości?

Dobrze, że chociaż na razie są takie książki, jak wspomniane *Twórcze niepokoje codzienności*, która pozwala poszukać w sobie prawdziwego własnego oblicza, często ukrytego i odkształconego przez to, co zewnętrzne.



Rys. Barbara Medajska

JÓZEF BARAN

Spadając, patrząc w gwiazdy (I)

(fragmenty)



2008

Radosna wiadomość

Dzięki uporowi dni, konsekwencji godzin, mrówczej pracowitości sekund i minut.

Dzięki wschodzącemu i zachodzącemu z niewykłą punktualnością słońcu, przychylnym i nieprzychylnym wiatrom, sprzyjającej i niesprzyjającej aurze.

Dzięki Bogu, dzięki starannie dopracowanym Przypadkom, a także dzięki temu, że wyginęły dinozaury, a uratował się jakiś bliżej nieznanym praszczurek ssakowaty.

Dzięki milionom, miliardom, bilionom, trylionom i niezliczonej ilości sprzyjających i niesprzyjających zdarzeń, okoliczności kosmicznych, historycznych i lokalnych.

Dzięki harmonii sfer niebieskich, dzięki wszystkiemu, co się zdarzyło i nie zdarzyło, dzięki zegarom i kalendarzom, dzięki obrotom kuli ziemskiej...

Na przekór pesymistom, wbrew katastrofistom mimo że, pomimo wszystko i nie wiadomo dlaczego...

Nastał dla mnie 1 września 2008 roku i znów zastał mnie w Krakowie.

Uczta w podziemiach dworca

To nie wykwintne przyjęcie w hotelu „Bristol”, „Mariott” czy „Pałac Dożów”, gdzie panowie w smokingach, panie w wieczorowych kreacjach, kawiory, łososie, przepiórcze jaja, najdroższe gatunki trunków, ptasie mleczko, pieczone prosiaki i drób wszelaki, od którego uginają się stoły...

Nie. Po stokroć nie.

To betonowe podziemia dworca. W przejściu do krakowskiej „Galerii” sześciu bezdomnych meneli przyciśniętych przez

życie do ściany, z grubą babą pośrodku, która kroi bochenki na cieniutkie kromki, smaruje masłem, okrasza plasterkiem kiełbasy, serka topionego, ogórka kiszzonego ze słoika, doprawia musztardą, po czym sprawiedliwie dzieli smakołyki między członków komuny, kłęczących na rozścielonym kocyku – ze szklankami, do których jeden z nich, może szef, wlewa zdobyczne piwa...

Spóźnione śniadanie albo lunch, bo zegar wskazuje dwunastą, schludni klienci wchodzą i wychodzą przez oszklone drzwi do galerii i z galerii, mijając grupkę meneli-oberwańców, na twarzach których maluje się rozkosz podniebienia i wielka przyjemność wynikająca z jedzenia.

Można stanąć i cieszyć oczy (stoje i cieszę oczy), widząc pokancerowanych przez życie ludzi w tej jednej chwili w siódmym niebie, gdy zaspokajają elementarną potrzebę, która dla nich – jak dla nas – nie jest rutyną, lecz wspaniałą ceremonią przewodu pokarmowego i grających marsza kiszek.

Stoje, patrzę i też mi blogo na duszy...

Tak, jestem stuprocentowo pewien, przyglądając się, jak poruszają pracowicie i nabożnie żuchwami, chrzęszczą, chrupią, przeżuwiają kęs po kęsie, przepijając piwem, że ich skala przyjemności w tym momencie jest nie mniejsza, ba, jest nawet większa od skali doznań estetyczno-smakowych wykwintnego, bogatego towarzystwa biorącego udział w kolacji w pięciogwiazdkowym hotelu.

Dlaczego?

Bo ich pragnienie i głód są o wiele większe i mocniejsze od pragnień i głodów możliwych tego świata, a więc sytych. A ponieważ odległość od pragnienia do zaspokajania pragnień tak duża – tym większa radość spełnienia...

Jak to kiedyś powiedział Miron Białoszewski?

„Człowiek w kosmosie czy na kanapie w Wołominie ma tę samą skalę wyobraźni i uczuć”. A ja dodałbym: i podobną skalę doznań hedonistycznych.

Pępek pępków, czyli krakowiaczek ci ja...

Na spotkaniach autorskich bywam nazywany poetą krakowskim, czego przez długi czas nie lubiłem, bo primo: wydawało mi się, że jestem autorem wierszy uniwersalnych, a nie lokalnych, secundo: z krakowską mentalnością, z krakowskimi salonami i mieszcuchami przez długi czas miewałem na pieńku, podejrzewając ich o pewien rodzaj wyniosłej i nieczej świętoszkowości. Mimo że mieszkam tu od lat – parę słów mojej duszy (jeśli dusza ma słoje) tuż przy rdzeniu (jeśli dusza ma rdzeń) pozostało borzęckich. Dowód? Odczuwałem zawsze mocniejszy związek z otwartymi przestrzeniami, Naturą, niebem usianym gwiazdami, lasem niż z zabytkami,

historią na Wawelu i krakowskimi kawiarniami. W Szwecji, gdy Anders Bodegård, tłumacz Szymborskiej i Gombrowicza, zapytał mnie, co już zobaczyłem w Sztokholmie, odpowiedziałem przekornie, że okoliczne lasy, jeziora i wysepki...

Myśląc o swojej tożsamości, podpisuję się pod słowami węgierskiego noblisty Imre Kertésza, który pisał: „mam wiele »ja« i wszystkie one obsługują to jedno: moje reprezentacyjne »ja«. Ale wszystkie moje »ja« – więc i »ja« sam – o nim właśnie wiedzą (wiem) najmniej. Jestem jak ziemia i nawóz na grządkach, a kwiat, któremu pomagam wyrosnąć, jest mi obcy; właściwie tylko z uprzejmości wobec siebie podziwiam go od czasu do czasu przelotnym spojrzeniem”.

W „Koncercie dla nosorożca” pisałem trochę podobnie: „Mam wrażenie, że jestem ruską babuszką, w której znajduje się kilkanaście innych coraz mniejszych. Ale która jest mną, z którą utożsamiam się najpełniej?”. To chyba zależy od roli, jaką w danym momencie muszę zagrać – dodałbym dzisiaj. Od czasu do czasu wyskakują też ze mnie tamten borzęcki zasmarkany pastuszek uczepony krowiego ogona, choćbym go ukrywał w sobie, więził, głodził i stroił w erudycję, tytuły i garnitury...

Zresztą, czy jestem wyjątkowy? Każdy wrażliwy człowiek składa się z wielu „ja”. Tylko ludzkie nosorożce pozbawione wrażliwości – na przykład większość polityków – są tak zamaskowane i żyją za tak grubą szybą dyplomacji, że nie ma do nich dostępu.

Niedawno jedna z internetowych krakowskich witryn poprosiła mnie o wypowiedź, czy czuję się krakowianinem i czym krakus różni się od mieszkańców innych miast. Pytania nie za mądre, ale myślałem, myślałem i odpowiedziałem. Choć na wstępie zastrzegłem, że z dużą podejrzliwością przysłuchuję się próbom uogólnień, że krakowianie są tacy, a warszawianie, opolanie czy poznaniacy – inni.

Zresztą, choć mieszkam w Krakowie już ponad 30 lat, czy czuję się krakusem? Ile lat musi się tu żyć, by zasłużyć na to miano? Większość najznakomitszych artystów, aktorów, poetów, naukowców z grodu nad Wisłą, których znam, to przyjezdni rodem z miasteczek i wsi małopolskich czy innych miast i regionów. Ściągnęła ich magnetyczna legenda stolicy kultury polskiej albo są dziećmi chłopów lub robotników przybyłych tu, by budować „pomnik socjalizmu”: Nową Hutę.

Istnieje taki stereotyp, że krakusy nie lubią warszawiaków... To też nie bardzo sprawdza się na moim przykładzie, bo „w stolicy miewałem wypróbowanych przyjaciół i dobrych znajomych (wśród pisarzy: Artura Sandauera, Mariana Pilota, Edka Redlińskiego, Mirona Białoszewskiego czy Wiesława Myślińskiego).

cdn.

Poezja pisana czułym piórem kobiet

Poezja kobieca inspirowana jest najczęściej detalami i chwilowymi sytuacjami, na które ta pleć jest ogromnie wrażliwa. Szybko też te doświadczenia detaliczne samorodnie przeradzają się wiersze – niekiedy niekoniecznie pogłębione refleksją racjonalna i dlatego bywają często bardzo szczere – aż do bólu. Pojawiające się przeżycia emocjonalne są nierzadko maskowane grymasami na twarzy, zmiana tonacji głosu, by niespodziewanie powodować erupcje słowne formowane w wiersze. Nawet te wyemancypowane kobiety nie tracą owego nadzwyczajnego „zmysłu uwagi”, że w konkretnych sytuacjach widzą, czują i słyszą więcej niż przytrafia się to nawet bardzo wrażliwemu mężczyźnie. Właśnie z tej perspektywy spróbujemy przybliżyć twórczość poetki trzech poetek ze zróżnicowanym doświadczeniem życiowym, tj. **Danuty Perier-Berskiej, Alicji Tanew i Bożeny Boby-Dygi**.

„W kolorze pomarańczy” – to tomik D. Perier-Berskiej, starannie wydany, drukowany również pomarańczową czcionką z wieloma ozdobnikami edytorskimi. Inspiracją dla autorki jest niewątpliwie głęboka refleksja nad osobistym losem będącym czymś na kształt „marszu przez życie”. Najczęściej źródłem inspiracji są rozterki małżeńskie poetki, sprawy złożonego życia rodzinnego, relacji z matką, ojcem, córką, przedwcześnie zmarłym mężem, doświadczenia kolejnego związku z mężczyzną, ale i wątpliwości związane z byciem singielką, marzącą o losie kopciuszka. U podłoża tych rozterek tkwią nieustanne lęki, by pojawiająca się tu miłość nie uległa merkantylizacji i nie została zamieniona na relacje typowo fiskalne – biznes emocjonalny. Najczęściej inspiruje się autorka owym dylematem, nazywanym samotnością „razem, ale osobno”, którą pogłębia strach przed niechybną słabością, bezradnością i śmiercią, ostateczną utratą ogniska domowego. Pomimo to rytm dnia i nocy, kolejnych pór roku budzi w autorce szereg pokus, namiętności, chęci na różne grzechy, co jakby przywraca jej naturalną harmonię życia w świecie. Dobrze owe rozterki inspirujące poezję Perier-Berskiej wyraża utwór pt. „Gwarancja”, gdzie pisze: „dawno temu kupił jej miłość / zapewniał że gwarancja / jest podbita / teraz ona patrzy w lustro / na podbite oko i wie / że termin gwarancji / minął bezpowrotnie”.

Pomimo wszystko deską ratunku dla poetki jest zawsze budujące współzycie ludzi uczucie miłości, o którym pisze tak: „(...) miłość zawsze wygrywa / trzeba tylko mieć przy sobie / zapalki”. A kiedy już jakoś działa, wtedy budzą się owe emocje, które budują apetyt na „słodkie życie”, „piękny, wspaniały świat”, w którym twórczo spotykają się ciągle przeciwstawne natury kobiety i mężczyzny.

Poetka tak oto kroi słowem ów portret mężczyzny: „jak małe dzieci / przez smak i dotyk / uczą się poznawać świat / po drodze rozbijają kolana / o wystające pagórki piersi / instynkt prowadzi ich do miejsc / owianych legendą”.

Tomik zamyka ciekawa refleksja z podróży po Europie przepełnionej pozytywnymi emocjami, które z perspektywy Paryża uświadamiają poetce, że „nikt tu nie śni życia” jak onegdaj śpiewała Edith Piaff.

Zupełnie odmiennie tworzy swoją poezję Bożena Boba-Dyga, która ze swą przyjaciółką, malarką – Janiną Żołyńską stworzyła typowy kalejdoskop słowno-obrazowy. Obie artystki wspólnie wypoczywały i tworzyły, wsłuchiwały się jakby w siebie, dzieliły inspiracjami w tym „sezonie artystycznym”, co zaowocowały nietypowym tomikiem, który może być również katalogiem prac malarskich J. Żołyńskiej. W nocy na okładce tomiku Dorota Koman tak ujmuje sens tego tomiku/katalogu, pisząc: „(...) Umiejętność słuchania i zapisywania siebie. I innych. I najciekawszy z dialogów – wierszy Bożeny Boby-Dygi i obrazów Jadwigi Żołyńskiej – w którym zawarły one opowieść o tym, że warto być i cieszyć się chwilą, „Nim fale nas / zmyją”. Kolejne wiersze w tym zbiorze przekładane obrazami koleżanki opisują przeżycia poetki kooperującej z nią, z którą współtworzy język poetki wizualizowany obrazami przyjaciółki. Czasami ekspozują przykre doznanie braku czułości typowo męskiej rekompensowane swoją bliskością. Miejsce tej akcji artystycznej jest miasto uzdrowiskowe – Ustka, choć przeżycia te odwołuje się również do klimatów innego uzdrowiska – Lanckorony w Małopolsce. Poetka studiuje więc dzieje Ustki i zauważa na wzgórzu koło miasta willę, która kiedyś należała do Hermana Goeringa. Opisuje małe domki pośród drzew, które były świadkami wielu wydarzeń historycznych, dzisiaj podupadłe. Autorka opisuje również przysłowio-we cuda przyrody nadmorskiej, rozkoszuje się ciszą, horyzontem morza, na którym żaglowce nadymają żagle. Zastanawia się nad tym, czy drzewa się cieszą, kiedy w ich koronach śpiewają ptaki. Boba-Dyga przywołuje tu nawet klimaty utworów Kazimierza Tetmajera żywcem przejęte z „Sabałowych bań”. Na tym tle pławi się w kolejnych chwilach przepełnionych śmiechem dzieci na koloniach, kolorami i zapachami Ustki, tworząc w ten sposób pewną całość zwartą emocjonalną, zlepioną z tych chwil kolejnych błogostanów. W wierszu „Falochron” tak oto ukazuje ten klimat Ustki, pisząc: „Wbite w wodę / oprószone piaskiem / zapuszczają zielone brody alg / morze je czesze / fala ich nie goli // słońce zachodzi / sennymi ptakami”.

Warto również nadmienić, że krakowska poetka urodzona w Pszczynie należy do grupy artystów multimedialnych i prowadzi szereg eksperymentów artystycznych podyktowanych ciśnieniem cyberkultury multimedialnej: śpiewa, wydaje płyty, zawodowo

zajmuje się konserwacją dzieł sztuki i obiektów architektonicznych, uprawia fotografię artystyczną i sztukę intermedialną. Fakt powstania tego dialogicznego tomiku należałoby właśnie postrzegać jak kolejny eksperyment artystyczny mieszczący się w jej paradygmacie uprawiania sztuki współczesnej.

Na zakończenie chcemy wspomnieć o „Szkiecach na wietrze” – kolejnym tomiku A. Tanew inspirowanego głównie szerszym doświadczeniem artystycznym, w którym poezja stanowi pewien szczególny element. W wierszu otwierającym tę książeczkę autorka tak oto demaskuje swe inspiracje artystyczno-poetyckie: „Skąd to we mnie – nie wiem / sama mnie to nęci / że wciąż słyszę wiersze / jakby z podpamięci / ona je zapisuje / a często też śpiewa / nawet w najgłębsze noce / a ja się nie gniewam / (...)”. Nie trudno zauważyć, że poezja ta, ale i muzyka wydobywają się z pogranicza świadomości autorki i stanowią pewną nadwyżkę emocjonalną energetyzującą jej życie, przejawy temperamentu, kanalizowane mimochodem w melodiach i układane od niechcenia w wersy. W kolejnych utworach autorka tańczy na wietrze z liśćmi, przytula się do drzew, biega po kwiecistych łąkach, a wtedy wiatr – ostatni podmiot liryczny utworów Tanew – przypomina jej, że jest spletem własnych włosów. Liryczna nastraja ją „naga cisza” i pulsujące w niej oddechy osób bliskich, wyobrażenia których wydobywa z residuum pamięci. Z otaczających ją dźwięków buduje bliskość kochanych osób: matki, ojca, bacie Katarzyny i trzech córek. Jako typowa kobieta często zagląda do „szafy wspomnień”, w której z uwagą przygląda się „ukochanym sukniom” i klejnotom, bo jej życie składa się przecież z drobiazgów, których nie lubi odkładać „na potem”. Buduje wokół siebie osobisty ogród, gdzie jej prywatny ogrodnik pielęgnuje kwiaty, zwierzaki ptaki, ale i jej uczucia, przeżycia, emocje pchające ku kolejnym wierszom pisany pod kopułą nieba dniem i nocą. Czasami z fraunkiem narzeka, że skrupulatnie budowane szczęście niekiedy przegania porywisty wiatr. Większą część wierszy dedukuje licznym przyjaciółom, z którymi wiążą ją głębokie emocje i bliskość obcowania. Należą do nich: malarz Vermeer, E. Zegadłowicz, K. C. Norwid, M. Dąbrowa-Szatko, J. Tulik, K. Koncicka, J. Pociask-Karteczka, P. Kuszyński, A. Sikorowski, J. Zieliński, R. Rodzik, D. Pietrukaniec i wiele innych osób, z którymi łączy ją nie uczuć przechowywanych w pamięci. W trzeciej części tomiku krakowska artystka i poetka robi rachunek sumienia z życia osobistego oraz artystycznego, a powód jest prosty – 70 lat życia, w tym 50 na scenie. Czas ten nie jest dla niej stracony, bo wie, że życie to są tylko chwile, które należy kolekcjonować, łapiąc je, ciesząc się nimi. Pojawia się więc i pewien smutek, z którym w ostatnim wierszu tomiku bez tytułu świetnie się uporała, pisząc:

(Dokończenie na stronie 18)

Poezja pisana czułym piórem kobiet

(Dokończenie ze strony 17)

„Gdyby tak / do smutku / przyklepić skrzydła motyla // na pewno byłby lżejszy // w moim powietrzu”.

Warto sięgnąć po te tomiki, bo zawierają ciekawą, momentami bardzo nastrojową, emocjonalnie budującą i rozwijającą kobiece relacje ze światem życia codziennego, ale i dobrze ukształtowanego, artystycznego stosunku do świata ludzkich spraw. Można w tych tomikach znaleźć wiele utworów poszerzających naszą wyobraźnię i wrażliwość na ludzkie dylematy egzystencjalne, postrzegane drobiazgową uwagą kobiet.

prof. Ignacy S. Fiut

Bożena Boba-Dyga, „Koniec sezonu”, Wydawnictwo Nisza, ilustracje obrazami Jadwigi Żołyńiak, Warszawa 2015, s. 48.

Danuta Perier-Berska, „W kolorze pomarańczy”, Wydawnictwo i Drukarnia Tercja, Kraków 2015, s. 84.

Alicja Tanew, „Szkice na wietrze”. Posłowia: Jacek Zieliński i Jan Jakub Należyty, Wydawca Scena ATA, Kraków 2015, s. 88.

Żebraczy los...

*Pod szklaną ścianą wieżowca
zebrak puszką bada skalę
ludzkiej obojętności.*

Z. Gordziej

Monika Maciejczyk, poetka, powieściopisarka – ma na swoim koncie dwa tomiki poetyckie: „Polskie drogi”, „Madonna nieświąta” (2012) i dwie powieści: „Marina” (2008) i „Zebrak i Pies” (2015). Laureatka wielu konkursów poetyckich i prozatorskich. Założycielka Międzynarodowego „Saloniku Literackiego” Różowy Dwór w Polanicy Zdroju. Ukończyła studia filozoficzno-historyczne oraz archeologiczne.

Aldous Huxley powiedział, że: „Napisanie złej książki wymaga takiej samej pracy jak napisanie dobrej”. Zapewne tak samo wypływa z duszy autora. No, może bezpieczniej byłoby powiedzieć, że autorka nie napisała złej powieści, ale taką w której nie wyłożyła żadnych poglądów filozoficznych czy społecznych (pomimo, że miejsce akcji jest „tu i teraz”).

Książka niewątpliwie trudna i nie na każdy nastrój. Opowieść o żebraku, który jest ubogim nędzarzem i żyje przeważnie z jałmużny. Przeżywa podczas swojej „kalwarii” zdarzenia na pozór nieważne (a jednak sku-

piające w sobie smak życia). Skazany na samotną wędrówkę (tyle, że wędrowiec, który tak naprawdę nie wędruje staje się jakością hipotetyczną).

Może być jednak źródłem poznania świata – albo świata osądzeniem. Jeżeli pokusiłbym się o porównanie literackie powieści Maciejczyk, musiałbym daleko szukać. Cały system powiązań, mnogość szczegółów – to jakby dwie sfery – sfera człowieka i sfera natury, które nakładają się na siebie.

Autorka przejęła się zatem na serio owym schematem problemowym, który każdy wrażliwy pisarz powinien przepuścić przez ileś tam filtrów świadomości. W rozdziale „Z dała od zgiełku” mamy wprawdzie perspektywę szczęśliwego życia, ale tylko w wymiarze ziemskiej egzystencji: „I otwierał się Eden dawno zaginiony, którego nikt nigdy odnaleźć nie może, bowiem prawdziwie spoczywa on w sercu, duszy i umyśle człowieka...”

Eden jest w Tobie, tylko musisz go odnaleźć. Nie biegnij, zwolnij, przystań na chwilę i spojrz, a nie uwierzysz co przez tyle lat mijaleś, patrząc i nie widząc”.

Natura ludzka jest zawsze niekonsekwentna, sprzeczna, nieoczekiwana.

„Oczywiście, (napisał P. Kuncewicz) w praktyce zawsze przecież żyjemy w społeczeństwie, zawsze należymy do pewnej całości i nie możemy całej moralności za każdym razem budować od początku”. A początek był taki: chłopiec mieszkał z matką – zaszyci gdzieś na peryferiach miasta wśród ogródków działkowych (opiekujący się działką obcych sobie ludzi) i tam poznaje „starszego pana, zasklepionego w sobie samotnika, z którym nawiązuje „ogródkową przyjaźń”, która przeradza się w pierwszą miłość swego „nieukojonego serca” – ów pan „Tak zwyczajnie Papież się nazywał, a na imię miał Jan. Stary był i mądry wielce (...) bo Papież to nie był taki prawdziwy Papież z Rzymu (...) Papież rósł w jego oczach i rósł jak wielka góra i przesłaniał wszystko i wszystkich, upasiony i wielki całą mądrością świata”.

Po śmierci matki pojawił się strach i niepewność – samotny i zdany tylko na siebie chłopiec poczuł nagle, że znalazł się w samym oku cyklonu – daleko od błękitnego nieba nad drzewami ogródków działkowych i ludzi, którzy odchodzili, tak zwyczajnie po ludzku – zgodnie z wolą Boga i rytualnym nabożeństwem „zdawało się chłopcu, że ten byt wyimaginowany jest tak realny i prawdziwy jak kształt i zapach, a wszystko to składało się w sposób logiczny, a niespodziewany w jedną (...) funkcjonującą całość”.

Nasz bohater imieniem Antonio – ostatecznie poddał się losowi – którego (my czytelnicy) będziemy świadkami, jeszcze nie jeden raz. Każdy ma prawo do własnej historii, której ciągłość i sens będzie ich życiem. Odrobiny tamtego świata zmieniają się już w coś innego, w inne cząsteczki niż te, które zdołał uchwycić swoimi zmysłami. Świat i Ogrody dzieciństwa przestały istnieć (był to

świat wielowarstwowy): „Ogród rodził dobroć i pożytek (...) Wśród złotych w słońcu i czerwonych liści obnażały się kuliste kształty owoców. Żółciły się, czerwieniały, różowiły się i ciemniały”.

Poeta napisał: „Zebrak puszką bada skalę ludzkiej obojętności” i kryterium dobra. Potem trzeba szukać „po śmietnikach butów i okrycia (...) makulaturę zbierał, by jakikolwiek mieć pieniądze, a to puszkę po piwie, to złom czy inne różności (...) wchodził w konflikt z miejscowymi bezdomnymi i właściwie to nie on zaczynał tylko tamci brutalni byli i agresywni, a często niebezpieczni”.

Ten realistyczny obraz pod piórem polonickiej autorki nabiera dodatkowych znaczeń w świecie pełnym niedoskonałości. A może niedoskonałość w świecie ludzi jest doskonałością w świecie Boga?

Ktoś powie, że z takiego stwierdzenia nic nie wynika – a może to, że otaczający nas świat, tak jak ciało nasze – pozostają nadal dla nas wielką tajemnicą – „Świat jest domem Boga (...) pomyślał sobie Antonio (...) a my ludzie, to jeno takie laleczki co przychodzą tutaj, aby trochę miejsca zagrzeć, potrudzić się w pocie czoła (...) a później odejść całkiem goło... tak jako tu przyszli”.

Takie rozdziały jak: „Kradzież”, „Sąd. Temida ślepa jest”, „Bezdomność Miasto”, „Tożsamość”, „Noclegownia”, „Bez domu”, „Bezimienni”, „Pies”, „Niezwykła przyjaźń”: najwyraźniej ukazują nam ludzi, jako istoty najgłębiej irracjonalne i zbyt skomplikowane (tu nie decyduje tworzywo, ale wyobraźnia twórcy). I tak jest w każdym szczególe (bohaterowie tej powieści są ludźmi samotnymi – spotykają się w różnych miejscach (parkach, dworcach kolejowych i w noclegowniach). W tym środowisku Antonio zetknął się z ludźmi o różnorodnych zainteresowaniach, poglądach. Jednym z nich był życzliwy ludziom – pogrążony jakby w zupełnie innym, osobnym czasie (Orlando Szalony) posłuchajmy: będzie to wypowiedź ponadczasowa: „Los zdeterminowany jest twoim działaniem lub zaniechaniem owego działania. Odbierasz prosto swoją zapłatę za to, coś wcześniej uczynił. Widzisz ty, żył dawniejszymi czasy wielki mędrzec żydowski. Albert Einstein się zwał. I on to rzekł, że los jest deterministyczny. Oznacza to, że nie jest osobnym bytem, tylko wynika z naszych różnych mądrych i głupich uczynków i działań”.

„Bywalcy” noclegowni tworzą tu zbiorowość, której nie powinniśmy sprowadzić do wysłużonego schematu – jednakże odnalezienie miejsca w życiu okazuje się czynnością, której końca nie widać (problem znany z radia, prasy i telewizji – czasem to tylko problem na „jedną audycję i potem się wyłącza”). Tak oto wygląda powieściowa triada Moniki Maciejczyk. „Nieprzystosowani” znajdują się ciągle w tej samej krańcowej sytuacji, każdy ma jakiś nierozstrzygnięty „przeklęty problem”, jednocześnie swoją prostotę, naturalność i witalizm.

Autorka zatroszczyła się o życiową i psychologiczną wiarygodność każdego szczegółu. Takim szczegółem jest tytułowy „Pies”, który ma bez wątpienia ścisły związek ze znaną maksymą: „Chcesz poznać siebie i innych, poznaj najpierw zwierzęta”. Tytułowy bohater „nigdy nie miał psa. W czasach dzieciństwa zazdrościł innym dzieciom, które przychodziły latem do Ogrodów ze swoimi psami”.

Wraz z pojawieniem się zwierzęcia (ujawniła się energia biologicznej formy o zniewalającym kształcie) „skacząca na boki lub tuląca się czule i liżąca ręce czy nogi”. Tym niemniej stworzyli oni nierozłączną parę – zachwyceni tym, że mają w sobie jakąś „wielką radość”, która przypomina szaleństwo. Czy zatem opowieść o „Żebraku i Psie” nie nawiązuje do myśli Pascala „oburzającego się na tłumaczenie cierpień dzieci ich „współwina” za grzech popełniony przez kogoś innego jeszcze przed ich narodzeniem”. A przecież Antonio jest swym własnym celem i to celem dla siebie jedynym. Ta opowieść nie buduje sztucznych, literackich zagadek. Osiąga prostotę deklarując przywiązanie do życia – sugeruje spojrzenie na świat otwartymi oczami – próbuje ulżyć ciężkiemu losowi żebraka oczekującego hojnej jałmużny...

Andrzej Gnarowski

Monika Maciejczyk, „Żebrak i Pies”. Zakład Poligraficzno-Wydawniczy „M-DRUK”, Wągrowiec 2015.

Julia z Krainy Czasu

W świecie, w którym ubywa nas coraz bardziej, w którym wypalamy się coraz mocniej, w którym rozpadamy, znikamy, jesteśmy jakże nieistotni... też można odnaleźć poezję. W świecie, którego wyznacznikiem jest spauperyzowana proza – zaiste – i w nim można powiedzieć coś wykwintnego metaforą. W świecie, wobec którego nasza naturalna nań niezgoda może przejawiać się jedynie dziecięcym naiwnym, banalnym tupaniem również można ocalić piękno oraz ulotność. Tak pomyślałem po lekturze przedziwnego tomu „Tupanie ze sobą po drodze” **Łucji Dudzińskiej**. Głęboko, właściwie, to poczułem. Jego wymiar skrywa się jakby za mgłą fascynującej opowieści, za którą uchyla się kotara dygresyjnego poematu napisanego poetycką, wydawałoby się prozą, a jednocześnie jest to rodzaj pół-prozy silnie splecionej z najszlachetniejszą liryką. Kołowrót wydarzeń, lawina życia, niustanny nasz bieg miesza się w nim z chwilkami zatrzymań, z momentami zachwytu, z rzeczami najmniejszymi, które tutaj stają się potęgą. Ten tom wierszy Łucji, jeśli wejdziemy w niego mocno, doszczętnie, potrafi

bardzo zauroczyć. Ma w sobie pewien zastanawiający potencjał świadomości, czy bardziej nawet refleksji nad tym trudnym do zniesienia kontrastem mało poetycznych czasów z ludzką wręcz koniecznością do takiej formy ucieczki z klatki codzienności zamkniętej Czasem.

Łucja swoim tupaniem stawia ważne pytania. Nie każe nam na nie odpowiadać, nie zmusza nas do opowiedzenia się po jakiejś ze stron, nie stawia nas pod ścianą wyboru, a tylko odrzuca nam od niechcenia kamyczki ważnych słów pod nasze umęczone nogi. Uświadamia przejawy współczesnego Pantha rei, wobec którego niejednokrotnie stajemy po różnych stronach tej samej rzeki. A rzeka ta coraz brudniejsza, coraz bardziej zanieczyszczona, wartka, lepka nadmiarem wydarzeń oraz znaczeń, rzeka ta staje się autostradą do piekła, które sami sobie tworzymy w pędzącym na złamanie karku życiu na kołach naszych samochodów, w których jak w błyszczących puszkach wystajemy w porannych korkach jadąc do pracy, albo wracając z pracy, bez czasu dla świata, bez chwili dla ludzi, bez czucia samych siebie... Taki los nam zgotowała współczesność. I jakby nie powiedzieć – uczyniła to koedukacyjnie, solidarnie, zarówno kobietom jak i mężczyznom – po prostu – nam.

Ale to kobiecy świat. Ten świat przedstawiony w tomie Łucji. To kobiecy wymiar patrzenia. Piękny, intelektualny, zawiły, ciepły, czuły, łaknący, poszukujący i niesamowity. Może nazbyt opiekuńczy, nazbyt zakochany, nazbyt sentymentalny... taki z zapalkami z bajek. Z chrabąszczem i biedronką. Z tym promiennym uśmiechem, wobec którego my – mężczyźni – nigdy przecież w swej szorstkości nie pozostaniemy obojętni. I tutaj widzę most łączący nasze żeńskie i męskie światy. Przecież w wymiarze prozaicznym, codziennym, realnym, w wymiarze życia te światy są dziś nie do odróżnienia. W wymiarze naturalnym i intelektualnym. Owszem, różnimy się fizycznością, mentalnością, dążeniami, ale w gruncie rzeczy porywa nas to samo piękno, ta sama miłość, te same tęsknoty i oczekiwania. Splota się to wszystko w jeden wymiar ludzkiego po prostu świata, w którym przyszło nam iść ramię w ramię.

I już nie wiadomo z czyjego żebra Adam stworzył Ewę, a może to było na odwrót. Bóg jest cierpliwy i nie gra przecież w kości. Albert Einstein jednak się nie mylił...

Jest w tym tomie smutek dojrzewania. Zdrowy dystans melancholii. Zauroczenie nieosiągalną dalą i granicami nieskończoności. Słowa wtedy stają się bezdomne, idą po swoich śladach w głąb naszej percepcji jak oślepienie drogowaskazy. Przekraczają barierę intuicji i rozkoszy obcowania z pięknem, które można odnaleźć dosłownie wszędzie. A nade wszystko opisuje Ciebie człowieku jako zagadkę. Największą tajemnicę Wszechświata. Opisuje jako odpowiedź i jako ... szansę.

Nikt nie jest przecież samotną wyspą. Należy się tylko wzajemnie odnaleźć, acz, aby to uczynić, należy pierwej wnikliwie szukać, należy pozwolić sobie na otwartość, na zachwyty, na łaknienia i na zadziwienia – człowiekiem, światem, naturą. To tylko tyle i aż tyle.

I skoro nawet jesteśmy w stanie w tomie Łucji rozgraniczyć prozę od poezji, to nie jest to prozaicznie proste, kotłuje się i miesza jak czas i miłość, bezszelestne stany, jak wiosna i lato, jak ty i ja. Jak Łucja z Krainy Czasu ...

*„ty gonisz mnie ja gonię ciebie
i zsuwamy się z siebie,
jak wskazówki zegara,
jak zsuwa się ze snu zmęczenie (...)*

obawa (tylko obawa) pulsuje w głowie

*topi się w wannie w rzeki strumykach
w koleinach zdań się zamyka
szuka mowy zwierząt i rzeczy
plecie plecie szczęście i leczy
z prawdy o świecie – i uczy
do drzwi pukać szukać
sobie właściwych kluczy*

ja gonię ciebie ty gonisz mnie (...)

Proszę o wybaczenie Autorkę, że w tak frywolny sposób ustawiłem tę wersyfikację cytując jedną z kulminacyjnych scen tomu. Takich „scen kulminacyjnych” jest tam więcej. Musimy je tylko odszukać, choć nie będzie to trudne, jeśli podążymy kluczem tego typu fascynacji, którą starałem się tu przedstawić i uwypuklić.

Łucja Dudzińska mówi bowiem czytelnymi obrazami. Prowadzi pewną narrację życia, pozornie zwyczajnych sytuacji i wydarzeń, aby w pewnym momencie, z zaskoczenia uderzyć w nas poezją i robi to w sposób wręcz bolesny. To jednak ból miły, perwersyjnie oczekiwany, chciany i jakby oczywisty, wynikający z zagęszczenia „akcji” i stanów. To ból oczywisty, a jednak prowadzący nas w nowe światy doświadczenia.

Owa bolesna zwyczajność jest przecież wiodącą cechą naszych czasów, w których nadzwyczajność nadciąga tylko z ekranów, monitorów i przestrzeni sztucznie stworzonej, albo alternatywnie i absolutnie i niekomplementarnie może nadejść tylko z nas samych i z naszego... tak, poszukiwania poezji właśnie. *Tertium non datur* ... jak mawiali uczeni. Tylko czy uczeni zdają się wszystko wiedzieć? Niestety nazbyt wiele, jak na nasze wolne i łaknące wciąż nowych tajemnic umysły...

Podążajmy więc za „Tupaniem ze sobą po drodze”, gdyż to wyjątkowa historia wrażliwości, historia naszego przecież losu, zaplątanego w codzienność oraz jasna wskazówka ku drodze wyzwolenia.

(Dokończenie na stronie 20)

Julia z Krainy Czasu

(Dokończenie ze strony 19)

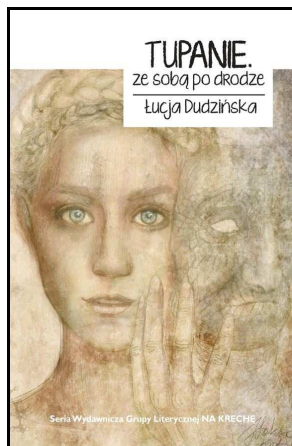
To opowieść niezwykłej gęstości, jak niezwykle jest życie każdego z nas, a jedynym warunkiem przeżycia owej niezwykłości jest chęć niemijania nikogo i niczego.

Jest nim też właściwa proporcja pomiędzy wnikaniem w samego siebie, jak i wnikaniem w zastany świat, który nie jest jedynie ograniczeniem, jednostajnością i banałem. Osiągnięcie tej harmonii – to właśnie nasze zadanie na tej planecie. Tak rodzi się wciąż, od wieków fenomen życia, fenomen kochania i fenomen nigdy nie gasnącej nadziei. Przemijanie nie ma i nie posiada siły sprawczej, aby to unicestwić. Dzięki nowoczesnej poezji Łucji Dudzińskiej możemy się o tym przekonać namacalnie, samoistnie, choć będzie to wymagało zapewne trochę wysiłku intelektualnego.

Jak napisał duński poeta Nils Hav – *poezja nie jest dla mięczaków* – i tym męskoskandynawskim akcentem pozwolę sobie zakończyć moje „samcze” wynurzenia i wrażenia z przygód Julii, jako bohaterki „Tupania...” Łucji Dudzińskiej.

Właściwie powinienem jeszcze dodać szczyptę wrażeń kobiecych, które w pięknym zdaniu zawarła Ewa Sonnenberg – *A słowo jest wymagające tak jak te wiersze, wobec których nie można przejść obojętnie.*

Andrzej Walter



Łucja Dudzińska, „Tupanie ze sobą po drodze”. Wydawnictwo Fundacja Centrum Rozwoju Kultury i Edukacji / Grupa Literyczna Na Krechę – Poznań 2016. str. 70.

Nikt nie czeka na nowe wiersze

Nie ma w tej chwili poetów, na których wiersze by się czekało. A kiedyś byli tacy!

Teraz nie ma. Nobliści poumierali, przenieśli się w inny świat. Tworzą tam pewnie nowe wiersze. Niewidzialne. Nikt na nie nie czeka. Dzisiaj ludziom nie potrzeba poezji, nie chcą lirycznych kont.

Szkoda, że zamilkł ostatnio Ernest Bryll (ur. 1935), bo jego twórczość miała uzasadnione ambicje towarzyszenia społeczeństwu polskiemu na patriotycznej i obywatelskiej drodze. Bryll bez fałszywej żenady wprowadził do swej poezji pierwiastki metafizyczne, eschatologiczne. Który z poetów dzisiaj ma taką odwagę? Może Wojciech Wencel, czy Rymkiewicz, może **Jerzy Stasiewicz**? Ten ostatni opublikował właśnie tom wierszy pt. „Po co komu krzyż”. Ten nieco heretycki tytuł zawiera utwory uczące obywatelskiego i patriotycznego myślenia o przeszłości, która jest przecież fundamentem czasów obecnych.

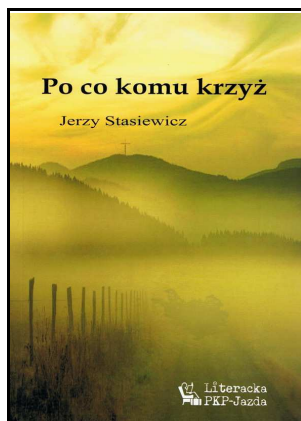
Wierszom Stasiewicza dyskretnie towarzyszą słowa Jana Pawła II, który w Wilnie w roku 1993 powiedział: „Cierpienie i krzyż nie znikają nigdy: próby dnia wczorajszego skończyły się, lecz dzisiaj i jutro przyniosą z pewnością następne”.

Po lekturze książki Stasiewicza chciałoby się poprosić autora o taką przyjaźń, jaką obdarzył już np. Kresowatego czy Kolbergera..

Topografia wierszy Stasiewicza jest najcenniejszą cmentarna, co może się niektórym krytykom spodobać, ale tam przecież prowadzą bez pomyłki wszystkie ścieżki życia. Poeta pisze:

*Trzeba było śmierci wielu,
aby zrozumieć istotę życia.*

Emil Biela



Jerzy Stasiewicz, *Po co komu krzyż*. Redakcja: Piotr Goszczycki. Wstęp: Arkadiusz Kiński. Projekt okładki: Justyna Bartoń-Depa. Fotografie: Violetta Stasiewicz, Kamila Bartczak, Piotr Goszczycki. Seria *Szlak literackiej pkp-jazdy, Pociąg nr 8*. Wydawnictwo Komograf, Warszawa 2015, s. 128.



Anna Sadzik

zmieniłam się

nie będę już twoją wyobraźnią
kategorią ustalaną według prawa pańskiego
nie będę wiszącym obrazem z Marlin
kalką która objęła posłusznie kontury
wyciśnięte twoją dłonią
nie będę kredką z twojego piórnika
matką twojej matki
towarzyszką podróży po rodzinie
w miejsca których nie chcę już widzieć

twój sprzeciw
nie wyzwoli już sarkastycznych dialogów
wykrzyczanych monologów
targania ubrań
i recytowania kłamstw

nie będę twoim snem

gdy zechcę będę piła z tobą tanie wino
trzymając się za rękę
będąc żoną jedyną z żon
zatańczę tango poubierana w firanki
gdy zechcę będę z tobą gadała do rana
o poranku
byle z tobą

gdy zechcę będę

Pojedynek

wyzywasz mnie do walki
bez tarczy, bez szabli
stoję w okręgu marzeń przybita do ziemi
własną drzazgą co kreśli pod skórą krajo-
brazy
moje ręce przetaczają pulsem całą wieczność
dla jednej kropli
z twoich łez

żebractwo

Bywają pragnienia tak bezdomne, że
kładąc się na wycieraczkach byle jakich
serc gotowe są całować choćby kłamek

nie zasnę

nocą na przeciw światu nie zasypiam.
gwiazdy
przygniatają mnie swoim blaskiem.
choć wyciągam ręce -
nie umiem ich łapać.
liczę barany na wypadek gdybyś przybywał
na jednym z nich
bo w białego konia już nie wierzę.

Filozofia codzienności (114)



Filozofia – niezależnie od tego, czy jest to teoria poznania, etyka, metafizyka, filozofia przyrody, aksjologia, filozofia dziejów, filozofia codzienności – z istoty swej ma charakter ogólny i powszechny.

Sprawą zainteresowanych jest w przypadku filozofii codzienności zastosowanie ogólnych stwierdzeń do tego, co jednostkowe i niepowtarzalne.

Utarło się rozumienie filozofii jako wiedzy odległej od rzeczywistości. Zachodzi jednak potrzeba praktycznego korzystania z niej w związku z niepokojami codzienności, wobec których bywamy bezradni. Niezbędne jest sięgnięcie do filozofii wbrew stwierdzeniom o jej zbędności. Zakres filozofii poszerza się. Wciąż nowe obszary stają się przedmiotem jej dociekań. Przykładem nowych działów filozofii może być filozofia uniwersytetu czy filozofia farmacji.

Cywilizacja dostatku dóbr materialnych błędnie jest obecnie wskazywana jako cel, który spełniony – stanie się czasem szczęśliwości. Ażeby osiągać szczęście, to poza innymi warunkami zróżnicowanymi indywidualnie, niezbędny jest kontakt z drugim człowiekiem, a nie z rzeczami. Przy czym, do szczęścia prowadzi nas niezawodnie instynkt. Już Immanuel Kant wskazał na to, iż z faktu wyposażenia człowieka w rozum płynie potrzeba odnajdywania sensu własnego istnienia, a nie tylko przeżywania szczęścia. Innymi słowy, niezbędne jest dla osiągnięcia poczucia sensownego życia odnalezienie ideałów oraz konieczny jest wysiłek zmierzający w kierunku ich urzeczywistnienia.

Filozofia codzienności powinna pomóc w wyzwalaniu się z opinii funkcjonujących w społeczeństwie i uczynić krytycznej oceny także poglądów utrwalonych mocą tradycji. Idzie o to, by nie ulegać temu, co jest powszechnie akceptowane. Dzieje kultury uczą nas, że racja z reguły należy do mniejszości. To van Gogh miał rację a nie odrzucające go społeczeństwo. Przykłady można by mnożyć.

Wartością fundamentalną jest życie, w tym istnienie człowieka. Filozofia codzienności uczy przeżywać radość z tego powodu, że należy się jeszcze do świata ludzi żywych. Unika się z reguły spoglądania na świat przez pryzmat czekającego kiedyś kresu, bowiem wierzyć można w każdą śmierć z wyjątkiem

własnej. Prowadziłoby to do załamania, do bierności. Los człowieka przypomina sytuację człowieka w celi więziennej, czekającego na wykonanie kary śmierci.

Należy więc czerpać szczęście z samego faktu istnienia i szukać w tym podpory w okresach osamotnienia i niekorzystnych zbiegów okoliczności.

Z filozofii Kanta przejęłam na wiele lat pogląd, że człowiek jest wartością fundamentalną. Jak pisał – co jest wyrazem głębokiej mądrości – człowieka należy traktować jako cel sam w sobie a nigdy jako środek do celu. Przeobrażenie światopoglądowe – wynik lektur i dyskusji – doprowadziło mnie do uznania jednak życia w ogóle, a nie tylko istnienia człowieka za wartość fundamentalną. Jest to rezultat zrozumienia, że ludzkość tworzy jedność z przyrodą, z Kosmosem. Życie roślin i zwierząt powinno być szanowane, a nie tylko życie człowieka. Dzieła kultury także w swoisty sposób żyją ucieleśniając sobą energię twórców.

Trwałym punktem odniesienia i niezawodnym jest odnalezienie oparcia we własnym ja. Nie przeszkadza temu uświadamianie sobie rozpiętości między ja urzeczywistnionym i ja pożądanym przez siebie. Ta samoświadomość mobilizuje i sprzyja formowaniu w sobie właściwości, które pozytywnie oceniamy. Niezbędna jest wiara w możliwość kształtowania siebie i świata na miarę własnej wyobraźni i oczekiwań.

Filozofia codzienności wyrasta ze sprzeciwu wobec nurtów w obrębie pozytywizmu filozoficznego, które rugują z obszaru filozofii problematykę wartości. Impulsem do sformułowania filozofii codzienności jest brak filozoficznych dociekań nad istnieniem człowieka uwikłanego w zwykłe sprawy. Brak jest rozważań napisanych w przystępny sposób dla Czytelnika, który nie studiował filozofii. Wybitni polscy filozofowie XX wieku, Bolesław J. Gawecki i Wiktor Wąsik – których wykładów słuchałam na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej w Akademii Teologii Katolickiej (dziś UKSW) – podkreślali, że w przeciwieństwie do spekulacyjnych systemów filozofii niemieckiej, polska filozofia ma zastosowanie praktyczne. Cenili tę tendencję, bowiem filozofia powinna być przewodniczką życia narodów i jednostek. To był pierwszy impuls, by sformułować filozofię codzienności jako wskazania dla sposobu istnienia jednostki.

Drugim impulsem do sformułowania filozofii codzienności, była moja bliska współpraca z profesorem Kazimierzem Dąbrowskim, który odegrał znaczącą rolę w odradzeniu higieny psychicznej po okresie stalinowskim. Jest to nauka teoretyczna i zarazem stosowana, której geneza w Polsce międzywojennej wiąże się właśnie z działaniami wymionowanego uczzonego.

Współpraca z K. Dąbrowskim przejawiała się w redagowaniu kwartalnika wydawanego przez PAN „Zdrowie Psychiczne”, w

reaktywaniu Towarzystwa Higieny Psychicznej, którego byłam wiceprzewodniczącą oraz w udzielaniu porad natury filozoficznej osobom, które szukały pomocy w Laboratorium Higieny Psychicznej dla Ludzi Zdrowych. Te doświadczenia wpłynęły na uformowanie filozofii codzienności.

Trzecim impulsem dla sformułowania filozofii codzienności stały się poglądy Pascala. Filozof ten podziwiając wiedzę naukową, zauważył, że nie przynosi ona odpowiedzi na pytanie jak żyć. Problem ten spotęgował się w naszym stuleciu, bowiem wiele osób jest uwikłanych, bezradnych, samozniewolonych i nie wie, gdzie szukać drogowskazów. Dominująca w niepodległej Polsce, czyli w latach 1918-1939, szkoła lwowsko-warszawska ugruntowała w wielu kręgach pogląd o tym, że sfera wartości i życie człowieka nie nadaje się do naukowych analiz.

Filozofia codzienności to nowy dział filozofii. Umożliwia praktyczne korzystanie z filozofii również przez osoby, które są od niej odległe. Myślą przewodnią filozofii codzienności jest niezgoda na rezygnację z własnego ja nawet za cenę pozostawania w opozycji do poglądów i obyczajów większości z rodziną włącznie oraz powiązanie sensu życia z wartościami wyższymi. Wewnętrzna harmonia pozwala przetrwać osamotnienie i czas trudnego, pozytywnego nieprzystosowania do świata. Osiąga się harmonię poprzez stan zgodności poglądów i działań z własnym ja. Unikanie postaw konformistycznych i oportunistycznych, które w szczególnie sposób degradują człowieka, a stały się dość powszechne u nas, sprzyja możliwości znalezienia oparcia w sobie.

W istnieniu człowieka istotną rolę powinny pełnić wartości wyższe, czyli ideały a nie wartości materialne i biologiczne. Rodzimy się jako zadatek człowieczeństwa i w myśl filozofii codzienności powinniśmy być świadomi rozdarcia między ja urzeczywistnionym a ja jakim według siebie powinniśmy być. Ten dział filozofii bierze pod uwagę doświadczenie potoczne, ale nie jest zbiorem wskazań w konkretnych sytuacjach życiowych. Filozofia z istoty swej ma charakter ogólny i powszechny. Sprawą zainteresowanych jest zastosowanie ogólnych stwierdzeń do tego, co jednostkowe i niepowtarzalne.

Filozofia codzienności uwyraźnia, że cywilizacja i dobra materialne nie przynoszą ani szczęścia, ani poczucia sensu istnienia. Szczęście wymaga oczekiwanych kontaktów z drugim człowiekiem, a nie z rzeczami. Przy czym Kant już wyjaśnił, że do szczęścia prowadzi instynkt. Natomiast wyposażenie człowieka w rozum sprawia, że sens życia odnajduje się urzeczywistniając ideały, które scalają nas z ludzkością.

cdn.

Marian Szyrakowski

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**Bar Cin-Cin**

– Żeby się czegoś nauczyć, musisz się przeciw uczyć. Kroczek po kroczku, włoski po włosku, aż się nauczysz mówić po włosku. Jaskółki tych słów wyfrunęły z ust filozofa Pana Nietwora, który w salonie mych myśli zasiadł przy okrągłym stole czekając na resztę towarzysztwa.

– Jedna jaskółka wiosny nie czyni – odezwała się swym bursztynowym głosem błękitnooka i złotowłosa Wiosna, wchodząc do salonu mych myśli. Na całe szczęście, dziś w kalendarzu mamy pierwszy dzień wiosny – dodała Wiosna.

– Na całe szczęście, tym sposobem mamy w salonie dzisiaj dwie wiosny – zawołali wiosennym głosem, wchodząc do salonu, asystent Daniel Spaniel i piwnooka jak heban, czarnowłosa Luna, trzymając się z Danielem pod rękę.

– Co dwa, to nie jeden. Musimy sobie w pełni zdawać z tego sprawę – przyklasnęła swym rubinowym barytonem filozof Pan Nietwór.

– Musimy sobie w pełni zdawać z tego sprawę – podjęła temat Wiosna – my obie, my dwie wiosny przyniosłyśmy tutaj wiersz radosny „Bar Cin-Cin”. To wiersz naszego Autora, który kiedyś będąc stypendystą rządu włoskiego, jako polski poeta spędził włoską wiosnę w Rzymie.

– Spędził, ale jej nie wypędził ze swego poetyckiego serca – uściślił rzecz filozof Pan Nietwór.

– Nie wypędził, nie wypędził – zawołał srebrzystym tenorem Daniel Spaniel.

– Jak mógł taką piękną wiosnę z pucharu swego serca wypędzić – zapytała szmaragdowym altem Luna.

– Wiosny nigdy nie da się wypędzić. Sama wie co ma robić. Zna swój cel i przeznaczenie – z wiosennym uśmiechem oświadczyła Wiosna, czyniąc swą powinność w salonie mych myśli.

Postawiła na okrągły stół włoskie wino spumante, musujące tak jak szampan.

– Jak tak, to tak. W tym smutnym życiu, gdy giną niewinni ludzie z rąk morderczej organizacji terrorystów, islamistów. Wstańmy z miejsc i bez wątpliwości wzniesmy toast na cześć miłości: Cin-Cin amore mio! Cin-Cin gdy poeci żyją – zadyrgował filozof Pan Nietwór.

Wstailiśmy z miejsc i zawołali: Cin-Cin amore mio! Cin-Cin, gdy poeci żyją. I wzniesliśmy toast na cześć miłości dla wszystkich ludzi na naszym świecie. Cin-Cin amore mio, gdy poeci żyją.

Kiedy przyjechałem do Rzymu jako stypendysta rządu włoskiego towarzyszyła mi moja kochana siostra Hala, Halina Bartyńska, artystka malarka. Była moimi oczami i przewodnikiem w świecie sztuki wizualnej. Zamieszkaliśmy w apartamencie, który nam wynajął Włoch Felice Rinaldi przy placu Ippolito Nievo. Pierwsze piętro, słoneczny taras o powierzchni 100 m kwadratowych z małym basenem i fontanną. Było się gdzie kąpać. Słońce, woda, kwiaty, zieleń, a ty przy mnie mój aniele – bar Cin-Cin. Na stole wino, którym Włochy słyną, a ja poeta milczeniem krzyczę. Nad czym tak myślisz, pyta mnie Felice. Felice Rinaldi. Więc mu odpowiadam: Giorni sono caldi. To znaczy, że jest ciepło na dworze, a on mnie pyta, co jest w tym utworze „Bar Cin-Cin”. Żebyś zrozumiał „Bar Cin-Cin”, napiszmy się czerwonego wina Felice. Żebyś zrozumiał „Bar Cin-Cin”, napisałem go tutaj w Rzymie w dwóch językach, po polsku i po włosku dla ciebie, w języku Dantego Alighieri i w języku Ippolita Nievo. Napisałem go w twoim pięknym języku, mój drogi Felice Rinaldi.

– Czas, już czas na „Bar Cin-Cin”. Jestem w Rzymie na tarasie. Trzymam w ręku tekst, a przeczytam go w salonie. Taki jest mój gest – wyraziła swą wolę przy okrągłym stole błękitnooka i złotowłosa Wiosna.

Bar Cin-Cin

*Ty jesteś jak Rzym
jak moje miasto wieczne
jak wiersza dźwięczny rym
jak pocałunki pierwsze
jak ogień w którym płonie woda
Ty jesteś noc moja – gwiazdzistooka
i sen i spleen*

*Wczoraj wieczorem bar Cin-Cin
widziałem ciebie z okna
wracając autobusem z Tivoli
i było to jak film
Zbliżenie twarzy twej
w umytych świeżo włosach
nie palisz wiem
więc nie paliłaś papierosa
pewnie zadzwonił tylko chciałaś
i stałaś tam i stałaś
Gdzie Rzym gdzie Krym gdzie bar Cin-Cin
gdzie wiersz gdzie sens gdzie film
gdzie Wrocław gdzie Warszawa
o Dio! Dio!*

*do kogo dzwonić chciałaś?
Amore mio!
Ty jesteś jak Rzym*

*jak moje miasto wieczne
Jak wiersza dźwięczny rym
jak pocałunki pierwsze
jak ogień w którym płonie woda
Ty jesteś noc moja
głęboka*

– Czas, już czas na „Bar Cin-Cin”. Jestem w Rzymie na tarasie. Trzymam w ręku włoski tekst, a przeczytam go w salonie. Taki jest mój gest – wyraziła swą wolę przy okrągłym stole piwnooka jak heban czarnowłosa Luna.

Bar Cin-Cin

*Tu sei come Roma
come la mia città eterna
come la poesia sonora
come i primi baci
come il fuoco in cui arde pure l'acqua
Tu sei la notte mia
così piena degli occhi di stelle
ed il sogno e lo spleen
ieri sera bar Cin-Cin
ti ho visto dal finestrino
stavo ritornando in autobus da Tivoli
E c'era quello come un film
prossimita del tuo viso
nei capelli lavati frescamente
non fumi lo so
allora non fumavi la sigaretta
sicuramente volevi telefonare soltanto
e stavi la e stavi
Dove Roma dove Crimea dove bar Cin-Cin
dove carne dove senso dove film
dove Wrocław dove Warszawa
o Dio! Dio!
a chi to volevi telefonare?
Amore mio!
Tu sei come Roma
come la mia città eterna
come la poesia sonora
come i primi baci
come il fuoco in cui arde pure l'acqua
Tu sei la notte mia
profonda*

W salonie mych myśli panuje demokracja. Każdy ma prawo do własnej decyzji. Cin-Cin amore mio, gdy poeci żyją.

P.S.

Dante Alighieri, włoski poeta, filozof, polityk, autor *Boskiej Komedii*. Urodził się 1.06.1265 r. we Florencji. Odszedł na tamten świat w Rawennie 14.09.1321 roku.

Ippolito Nievo, włoski poeta, powieściopisarz. Urodził się w Padwie 30.11.1831 r. Odszedł na tamten świat na Morzu Tyreńskim 04.03.1861 roku.

Andrzej Bartyński, polski aoida, ociemniały poeta, pieśniarz. Urodził się we Lwowie. Jest ofiarą Drugiej Wojny Światowej. Podczas hitlerowskiej okupacji Lwowa utracił wzrok całkowicie jako chłopiec będąc łącznikiem Armii Krajowej. Żyje we Wrocławiu ze swą rodziną i aniołem stróżem, swą żoną Krzysią. W salonie mych myśli spotyka się z wami i z nam i przy okrągłym stole. Wołamy na cały świat Cin-Cin amore mio, gdy poeci żyją tzn. niech żyje miłość.

POEZJA

Szymon Bira, 3,5. Projekt okładki Tomasz Fronciewicz. Seria Faktoria Poezji, tom 4. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika 1, Brzeg 2015, s. 40.

Jacek Dehnel, *Seria w ciemność*. Zdjęcia z kolekcji autora. Projekt okładki i projekt typograficzny Artur Burszta. Seria *Wiersze podróżne*, tom 27. Biuro Literackie, Stronie Śląskie, Wrocław 2016, s. 44.

Leszek Dembek, *Aporia (szCzqTki)*. Opracowanie graficzne serii i okładki Zbigniew Johnz. Zdjęcie na lewym skrzydełku okładki Magdalena Sowińska. Rysunki Paweł Kucharski. Seria *Akcent*. Wydawnictwo Hogben, Szczecin 2015, s. 110.

Małgorzata Dobkowska, *Przełęcz*. Zdjęcia Małgorzata Dobkowska. Zdjęcie autorki Maria Podworska. Książnica Podlaska, Białystok 2015, s. 92.

Janusz Drzewucki, *Rzeki Portugalii*. Na i stronie okładki *Moja dusza należy do Boga, a ciało do żywiołu morza*, karawela na płytkach ceramicznych w miasteczku São Pedro de Moel, 2010, fot. Janusz Drzewucki. Zdjęcie autora na IV stronie okładki Joanna Manowska. Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 122. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2016, s. 80.

Izabela Fietkiewicz-Paszek, Darek Foks, Teresa Rudowicz, Cezary Sikorski, Aleksandra Słowik, Sonet. Szeptanie. Redakcja: Cezary Sikorski. Projekt graficzny: Rafał Babczyński. Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2016, s. 58.

Krzysztof Galas, *Modlitwa o błękit*. Projekt okładki: Agnieszka Ograszko. Seria Wydawnicza LIBRA 86, Poznań 2016, s. 45.

Wit Jaworski, *Dąb*. Redakcja: Wit Jaworski. Okładka: Mieczysław Zygmunt Jaworskiego „Dąb”. Wydawnictwo i drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2014, s. 48.

Wit Jaworski, *Pawilon*. Redakcja: Wit Jaworski. Okładka: „Chiński domek w Żywcu odbity w wodzie”. Wydanie bibliofilskie. Wydawnictwo i drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2015, s. 48.

Wanda Łomnicka-Dulak, *Na mapie serca. 99 wierszy*. Redakcja: Iwona Dudzińska. Grafiki w tomiku: Antoni Dulak. Projekt okładki: Mateusz Nizianty. Konsultacja literacka: Bolesław Faron. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: Leszek Zegzda. Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2016, s. 140.

Stanisław Nyczaj, *Żarliwy niepokój. Wiersze wybrane*. Przekład na język bułgarski: Łyczczar Seliaszki. Wstęp: Stefan Jurkowski. Przygotowanie do druku: Irena Nyczaj, Paweł Nyczaj. Obraz na okładce: Leszek Niciński. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2016, s. 114.

Eliza Segiet, *Chmurność*. Redakcja i posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Fotografia i projekt okładki: Piotr Karczewski. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2016, s. 68.

Łyczczar Seliaszki, *Wiersze wybrane*. Przekład z bułgarskiego Wera Dejanowa i Teresa Moszczyńska-Lazarowa. Redakcja i słowo wstępne: Stanisław Nyczaj. Korekta i opracowanie typograficzne: Irena Nyczaj. Obraz na okładce: Leszek Niciński. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2016, s. 94.

Krzysztof Syrek, *O przenikaniu*. Projekt okładki: Konrad Kowalczyk. Zdjęcia wewnątrz książki: Bartosz Łuka. Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2016, s. 72.

Dariusz Szymanowski, *Żyoty polecione*. Projekt okładki: Konrad Kowalczyk. Na okładce wykorzystano fragmenty fotografii Marii Teresy Oliwii hr. von Hochberg, księżnej von Pless, zwanej też Księżną Daisy, wraz z synami. Oryginał jest własnością Zamku Książ. Wewnątrz książki wykorzystano fragmenty tryptyku Hieronima Boscha „Ogród ziemskich rozkoszy”. Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2016, s. 44.

Agnieszka Zięba, *Ocalić anioły*. Fotografia na okładce: Stanisław Jawor. Wydawnictwo i drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2013, s. 48.

PROZA

Harlan Coben, *Nieznamy*. Przełożył Robert Zdjęcie na okładce Roy Bishop/Arcangel Images. Projekt graficzny okładki Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz. Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz, Warszawa 2016, s. 416.

Anna Dziewit-Meller, *Góra Tajget*. Projekt okładki Justyna Boguś. Zdjęcie na okładce Tina Signoesdotir/Trevillion Images. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 248.

Jan Jastrzębski, *Ona. Opowiadania wybrane*. Projekt okładki Jerzy Tomala. Oficyna „Z bliska” Biblioteki Publicznej w Gołdapi, Gołdap 2015, s. 148.

Miljenko Jergović, *Drugi pocałunek Gity Danon*. Przełożył Miłosz Waligórski. Na okładce Jakub Ratajczak Labirynt. Opracowanie graficzne Artur Burszta. Seria *Proza*, tom 35. Biuro Literackie, Stronie Śląskie, Wrocław 2016, s. 168.

Jonas Karlsson, *Rachunek*. Przełożyła Patrycja Włóczyk. Projekt okładki Elżbieta Chojna. Fotografia na I stronie okładki George Fairbairn/Arcangel Images. Znak Literanova, Kraków 2016, s. 192.

Marcin Karnowski, *Przerzutka*. Projekt graficzny Radosław Drwęcki. Wydawnictwo KoRoN1s, Bydgoszcz 2015, s. 112.

Remigiusz Mróz, *Kasacja*. Projekt okładki Mariusz Banachowicz. Projekt typograficzny Stanisław Tuchołka. Czwarta Strona, Poznań 2015, s. 496.

Remigiusz Mróz, *Zginięcie*. Projekt okładki Mariusz Banachowicz. Projekt typograficzny Stanisław Tuchołka. Czwarta Strona, Poznań 2015, s. 512.

Donna Tartt, *Mały przyjaciel*. Przełożył Paweł Lipszyc. Projekt okładki Magda Kuc. Na obwolucie i okładce wykorzystano fragment obrazu Melchiora

de Hondcoetera (1636-1695) *Hare*. Znak Literanova, Kraków 2016, s. 608.

Grzegorz Uzdziński, *Wakacje*. Projekt okładki i stron tytułowych PEKAESZ. Zdjęcie na I stronie okładki Rafał Napierski. Zdjęcie autora Aleksandra Mokrzeska. Zdjęcie na wkładce Beau Lark/ corbis / Profimedia Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2016, s. 232.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Rafał Chwędzuc, *Jak nie pić i żyć szczęśliwie*. Projekt okładki i zdjęcie na okładce Anna Szypuła i Herbert Orlikowski. Fundacja Cultus, Warszawa 2016, s. 112.

O twórczości Sławomira Matusza. Projekt okładki Anna Kaczowska. Zdjęcie poety na okładce Szymon Hantkiewicz. Fundacja im. Jana Kochanowskiego, Sosnowiec 2015, s. 152.

Izabela Gómiccka-Zdziech, Franciszek Starowieyski. Bycza krew. Ilustracje na okładce iw tekście Franciszek Starowieyski. Projekt okładki Mikołaj Starowieyski. Zdjęcia na wkładkach Lalek, Maciej Odoliński. Pruszyński S-ka, Warszawa 2016, s. 352.

Alain Jouffroy, Natalia Kruszyna, Katarzyna Łata-Wrona, Agnieszka Taborska, Georges Visat, Henryk Waniek, Bellmer/Visat. Katalog do wystawy Bellmer/Visat na stu pięćdziesiątą lat Miasta Katowic. Na okładce Hans Bellmer *Karabin maszynowy w stanie łaski*, 1972. Projekt graficzny Jolanta Barnaś. Fotografie i reprodukcje Piotr Sobański. Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów, Muzeum Historii Katowic, Katowice 2015, s. 94 + ilustracje.

Aleksander Kaczorowski, *Hrabal. Słodka apokaliptypa*. Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracowania Papierówka. Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl. Fotografia na okładce Milan Janković. Seria *Biografie*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015, s. 264.

Marcin Kołodziejczyk, *Bardzo martwy sezon*. Reportaże naoczne. Projekt okładki Ania Kowalska. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 406.

Alice Milani, *Wisława Szymborska. Życie w obrazkach*. Przełożyła Joanna Wajs. Znak emotikon, Kraków 2016, s. 140.

WSPOMNIENIA

Emilia Tesz, *Opowieści z kufra wyjęte*. Na okładce wg projektu Autorki zdjęcie rodziny Teschów na krótko przed wojną. Zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego. Korekta: Irena Nyczaj. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2016, s. 136.



W „Tygodniku Powszechnym” (numer 17) wywiad z Andrzejem Sosnowskim:

Marcin Żyła: – Tegoroczną Nagrodę im. Tischnera otrzymuje Pan za książkę »Co Bóg zrobił szympansum?«, która jak uznała jury „burzy »sztuczny mur rozdzielający wierzących od niewierzących«. Gdzie dziś znajduje się ten mur?

Andrzej Sosnowski: – Nie ma powodu, by zacierać spór między wierzącymi a niewierzącymi, choć trzeba pamiętać; że jest to spór, który daje się stopniować. Tam nie ma muru; to całe spektrum spotkań wiary i niewiary.

Silniejszy jest podział na tych, którzy, zdają sobie sprawę z tego, że ludzkie doświadczenie pozwala na pewność, oraz tych, którzy ufają, że posiadli prawdę. Jest on prostopadły w stosunku do podziału na wierzących i niewierzących. Jako zwolennik pierwszej z tych postaw z wieloma wierzącymi nie potrafię się dogadać. Odpychają mnie od siebie granicową pewnością, zaciętrzewionym przekonaniem, że przecież »posiedliśmy prawdę« i »jest tak, jak mówimy«. Tak samo nie umiem rozmawiać z niewierzącym, który nawet roboczo, dla dobra dialogu; nie potrafi hipotetycznie zawiesić przekonania, że ateizm na pewno ma rację.

Są natomiast tacy wierzący i niewierzący, którzy zdają sobie sprawę z tego, że rzeczy zapewne są znacznie bardziej skomplikowane, i choć Prawda istnieje, przypomina linię asymptotyczną w matematyce. Innymi słowy: możemy się do niej zbliżyć, ale linia naszego życia przetnie się z nią dopiero w nieskończoności.

„Tak już bywa w show biznesie, że nawet największy powrót przestaje być i czasem sensacją. Od premiery »Supernatural« mijały lata, a chociaż Santana utrzymywał wysoki poziom nagrań, zaczęło brakować mu pomysłów na kolejne albumy. Z pomocą znowu pospieszył Clive Davis przyjaciel i producent, który za album »Guitar Heven« z gitarowymi szlagierami – »Back in Black« AC/DC, »Whole Lotta Love« Led Zeppelin Sunshine of Your Love« The Cream, czy While My Guitar Gently Weeps« The Beatles. Santana wykonał je w duetach m.in. z Joe Cockerem oraz raperem Nas – pisze Jacek Cieślak w „Rzeczpospolitej PlusMinus”, numer 89/2016.

Niestety po latach rozpadło się małżeństwo z Deborah, która pomogła muzykowi podnieść się z upadku. Jego obecną partnerką

jest znakomita perkusistka Cindy Blackman, znana z występów m.in. z Lennym Kravitzem. Santana oświadczył się podczas jednego z koncertów w 2010 roku. Mieszkają razem w Las Vegas.

Do powrotu z zespołem Santana Carlos przygotowywał się długo i pieczołowicie. Nikt nie wiedział, że pierwsze: nagrania zarejestrowano w 2013 roku.

– Nasza sesja nagraniowa była magiczna – powiedział lider – nie musieliśmy niczego forsować na siłę, osiągnęliśmy nieprawdopodobną naturalność, która zrodziła się z jamu i próby uporządkowania go. Nikt nie będzie miał problemu żeby zidentyfikować tę muzykę z szyldem zespołu Santana.

Nawet jeśli »Santana IV« nie powtórzy nawet w części sukcesu »Supernatural« – muzyk po wszystkich przejściach ma dystans do sławy.

– Granie muzyki jest dla mnie wielką przyjemnością, przestałem być zakładnikiem popularności – powiedział – bo sława może być jak więzienie, z którego trzeba jak najszybciej uciekać. Nauczyłem się tego i odtąd czuję się wolnym artystą. To pozwala przetrwać i gorsze okresy. Kieruję się prostą zasadą. Jeżeli moje serce nie czuje muzyki, nie bije szybciej, nie gram. Spodobały mi się słowa Bruce’a Lee, mistrza karate, który powiedział, że najlepiej być jak woda. Ona potrafi się zaadaptować do każdej życiowej sytuacji i pomimo zmiany postaci – choć raz jest deszczową chmurą, innym razem oceanem czy płynem w szklance – nie traci swoich ożywczych właściwości”.

„Wiadomo, że była najdłużej wydawaną płytową serią jazzową w Polsce. Być może nawet na świecie. Ale dziś trudno nawet precyzyjnie odtworzyć moment powstania serii »Polish Jazz«. Na pewno zasłużył się Jan Ptaszyn Wróblewski, który w maju 1963 roku nagrywał w Kopenhadze z Krzysztofem Komedą jego etudy baletowe dla wytwórni Metronome. Gdy wrócił, pochwalił się nagraniem w centrali handlu zagranicznego Ars Polona. »Powiedziałem, że za granicą uważają to za dobry biznes, a my co?« – wspominał później Ptaszyn w wywiadzie dla »Jazz Forum«. Szefostwo Ars Polony miało uznać, że w takim razie można by spróbować sprzedać ten cały polski jazz za granicą. Ale najpierw trzeba go wydać, więc skontaktowało się z Polskimi NAGRANIAMi. A tam Ryszard Sielicki – pierwszy dyrektor artystyczny firmy, zarazem kompozytor z doświadczeniami w muzyce poważnej i rozrywkowej – zlecił przygotowanie serii albumów – pisze Bartek Chaciń-

ski w „Polityce”, numer 17/2016.

Choć fakt, kto, komu i co dokładnie zlecał, to już kwestia, która do dziś wywołuje dyskusję. Zdaniem Jana Borkowskiego – wybitnego radiowca i współtwórcy Jazz Jamboree – serię zainicjował jej późniejszy redaktor, powszechnie lubiany, skromny Andrzej Karpiński. – *Spośród wielu wykształconych, dobrych muzyków, którzy pracowali w Polskich NAGRANIACH, tylko Karpiński wychowywał się na jazzie, interesował nim i dobrze go zna.*

Muzyka młodości to ważne hasło, bo dla całego pokolenia »Polish Jazz« była przede wszystkim świadectwem pewnego boomu. Miał on miejsce pod koniec lat 50., gdy odwilż gomulłowska zmieniła klimat dla jazzu i kiedy odbyły się pierwsze festiwale jazzowe w Sopocie z masową frekwencją sięgającą kilkunastu tysięcy osób, a później zaczęła się historia warszawskiego Jazz Jamboree. W tym samym czasie polscy muzycy zaczęli wyjeżdżać na Zachód. Jan Ptaszyn Wróblewski zagrał u boku Louisa Armstronga w bigbandzie festiwalowym w amerykańskim Newport. Kilka lat później wystąpili tam The Wreckers Andrzeja Trzaskowskiego, który wcześniej grał u nas ze Stanem Getzem. Przyjechał nawet do Polski czołowy prezydent radiowy Willis Conover, którego jazzowych audycji w Głosie Ameryki słuchali tu wszyscy, i stwierdził, że »nie spodziewał się tu usłyszeć muzyków na tak wysokim poziomie«. Powstał wreszcie w Polsce pierwszy miesięcznik jazzowy i pierwsze stowarzyszenie skupiające środowisko. Tylko autorskich, długogrających płyt wciąż nie było.

Próbą wypełnienia luki był więc wydany z numerem jeden w rozpoczętej przez Karpińskiego i Sielickiego serii album Warsaw Stompers – zespołu grającego tradycyjny jazz. Czy był hitem? Opinie są podzielone, wprawdzie na takie granie w nowoorleańskim stylu publiczność była dobrze przygotowana, ale z drugiej strony – masowy słuchacz rozglądał się już za czymś innym, na świecie panowała Beatlemania, a i u nas powstawały kolejne zespoły bigbitowe”. (...)



Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.